

STANISŁAW FISCHER

# KAZIMIERZ WIELKI

JEGO STOSUNEK do BOCHNI i BOCHEŃSZCZYZNY





STANISŁAW FISCHER  
KAZIMIERZ WIELKI  
JEGO STOSUNEK DO BOCHNI  
i BOCHEŃSZCZYZNY

CZCIONKAMI DRUKARNI „SECESJA” w BOCHNI.

STANISŁAW FISCHER

KAZIMIERZ WIELKI  
JEGO STOSUNEK DO BOCHNI  
i BOCHEŃSZCZYZNY



*Przełamaniu : Drogiemu  
Pd. Honorowi Uczniemu  
z wyrazami serdeczności  
H. Fischer  
R. 0. 2. 1X. 1941.*

BOCHNIA 1934 R.

---

NAKŁADEM TYMCZ. WYDZIAŁU POWIATOWEGO W BOCHNI



## I

**W** roku 1933 drugiego marca upłynęło 600 lat od chwili, kiedy na zamku krakowskim, strudzony znojem życia, ciągłym trudem i walką z wrogami umierał Władysław Łokietek. Przez całe swoje życie wprost nie zsiadał z konia i nie zdejmował zbroi — i nie ustawał w wysiłkach, ażeby przynajmniej te ziemie polskie, do których miał prawo tytułem dziedzictwa, połączyć w całość, i swoją koroną, jakby symbolem jedności związać w królestwo: niechże już raz po tylu latach dzielnicowego rozbitcia powstanie jakiś ośrodek, wyższy nad inne piastowskie księstwa splendorem królewskim i niech się stanie trzodem, do którego zczasem i reszta ziem polskich przyłgnie.

Dzięki jego wysiłkom powstało nowe, drugie już zrzędu państwo polskie, zabrakło jednak Łokietkowi czasu i sił, żeby części tego państwa, zlepione mechanicznie, spoić w organiczną całość. Nie dokończywszy dzieła, umierał z tem tragicznym pytaniem w duszy, co się stanie z jego państwem, które pomimo wszystkich swoich wysiłków, zostawia takie słabe. Gasnące oczy zwracał Łokietek raz po raz ku swemu jedynakowi Kazimierzowi, który mu dotąd przynosił tylko zgryzotę i wstyd. Jeszcze się nie zatarła pamięć owej węgierskiej awantury miłosnej królewicza, której następstwem było storturowanie uwiedzionej przez niego dworki królewskiej Klary, śmierć jej ojca i braci, którzy krzywdę swej siostry chcieli pomścić, i wreszcie kalectwo siostry królewicza, królowej Elżbiety, która braciszka przed mieczami rycerzy węgierskich zastaniała<sup>1)</sup>. Jeszcze pamiętano sromotną ucieczkę królewicza z Węgier. Jeszcze w świeżej pamięci wszystkich była druga, równie sromotna ucieczka Kazimierza z pola bitwy pod

---

<sup>1)</sup> Długosz: *Historiae Polonicae* t. III p. 132—134. cf. J. Dąbrowski: *Elżbieta Łokietkówna*. Rozpr. Ak. Um. S. II t. 32 s. 360.

Płowcami<sup>1)</sup>), gdzie jego ojciec z rycerstwem rozpaczliwie walczył nie tyle o laur zwycięski, ale wprost o byt swojego młodego państwa: Kazimierz uciekł, wzniecił popłoch i szerzył wieść fałszywą o klęsce. Więc ogromnie smutne musiały być ostatnie spojrzenia Łokietka na jedynaka i błagalne spojrzenia w stronę tych osiwiiałych w boju rycerzy, którzy radą i mieczem mieli w przyszłości wspierać młodego i lekkomyślnego króla.

Jakkolwiek oba wspomniane epizody, podkreślające zmysłowość i tchórzostwo królewicza, są dostatecznie stwierdzone historycznie, nie można jednak żadną miarą uznać ich za wystarczającą podstawę do charakterystyki młodego króla. Raczej należy przyjąć, że obok rysów ujemnych były w tej duszy jakieś ogromne a do owej chwili nieujawnione wartości dodatnie, bo inaczej trudnoby było zrozumieć, jak po takim marnym wstępie mogły się nagle, niespodzianie, odrazu, rozpocząć rządy tejsamej jednostki takie rozsądne, nacechowane taką świadomością dróg i celów i tak konsekwentne w każdym swem pociągnięciu. Trzeba raczej przyjąć, że u tego napozór tak płochego młodzieniaszka pracowała już oddawna myśl krytyczna i już oddawna wykuwała sobie samodzielny pogląd na stosunki polityczne i położenie Polski i snuła plan postępowania, różniący się bardzo silnie od planu, którym się kierował jego ojciec. W każdym razie obcy mu był i wprost wstrętny romantyzm takich beznadziejnych walk, jakie jego ojciec przez całe swoje życie toczył. Rozumiał Kazimierz, że jeszcze kilka lat takiej walki, jeszcze kilka choćby takich zwycięstw pyrrusowych jak Płowce, a Polska, wyczerpana ze wszystkich sił, — sama jak dojrzały owoc legnie u nóg krzyżackich. Więc na innych drogach ratunku dla Polski szukał i dziwić się tylko trzeba, że był w tych swoich poszukiwaniach tak niemłodzieńczo trzeźwy, tak dziwnie praktyczny i jakby chłodny. Wprost pojąć trudno, jak ten 23 letni król umiał wzgardzić wszelkim zewnętrznym blichtrzem i dorywczeimi sukcesami w polityce, jak umiał odsunąć od siebie wszelkie złudzenia i sny i stłumić w sobie odruchy słusznego oburzenia i zemsty — a w miejsce tego wszystkiego wstawiał program pozytywnej, systematycznej i cierplivej pracy, rozwijanej konsekwentnie według dobrze obmyślanego a ramowego planu, dostosowanego

---

<sup>1)</sup> Długosz, op. cit. p. 147; J. Szujski: Opowiadania i roztrząsania historyczne s. 11.

do warunków, do położenia, w jakim się Polska znajdowała. On w swojej dumie królewskiej i polskiej nie mógł oczywiście zapomnieć choćby na chwilę, czem Polska była niegdyś, czem jest dziś; wiedział, że od Karpat po Bałtyk, od Odry aż po Grody czerwieńskie i jeszcze dalej aż po Stochód i może Styr, to wszystko było niegdyś polskie, że polska krew i polska praca wydarła te ziemie pustce i na całym tym terenie zaszczerpiła nowe życie, a tymczasem musiał się pogodzić z faktem, że Pomorze zabrali Polsce Krzyżacy, że Czesi chytrą, podstępem, targiem i zdradą już pochłonęli znaczną część Śląska, a resztę księstw śląskich zniemczali Piastowicze sami dobrowolnie w gardziel czeską pchają. Musiał na to patrzeć i wszystko ścierpieć, ale równocześnie wbrew wszystkim pozorom nie wyrzekął się ani jednej piędzi polskiej ziemi. Cała jego historia świadczy, że za ostatni i najwyższy cel swojej zewnętrznej polityki, obliczonej na długie lata, uważał odzyskanie utraconych krain i połączenie ich nierozdzielne z macierzą. Ale to był program przyszłości — na razie siły jego były za małe, żeby z sąsiadami wojnę rozpocząć, a i blask jego korony za słaby, aby sam przez się mógł być przyciągającą siłą dla tych, którzy odpadli. Na to wszystko jeszcze kiedyś czas przyjdzie. Narazie zawiera król traktaty, nawet bardzo ofiarne i upokarzające, żeby sobie tylko zapewnić pokój i zyskać czas na wzmocnienie państwa i zabezpieczenie go przed ewentualnością dalszych strat i przygotowanie wszystkiego do przyszłej rozprawy z zaborcami<sup>1)</sup>. Rozpoczęła się też niebawem ta jego gigantyczna i nieprzerwana praca obronna. Z tą myślą zbudował cały łańcuch warownych grodów na granicach państwa i wewnątrz kraju, mnóstwo miast opasał murami, wreszcie wprowadził coś nakształt powszechnej służby wojskowej, na wypadek wojny<sup>2)</sup>. Żeby zaś rycerstwo zachęcić do ofiarności, znacznymi przywilejami obdarzył ustawowo już zgóry rodziny tych rycerzy, którzyby w walce za kraj polegali<sup>3)</sup>.

W swoich stosunkach z sąsiadami przejął Kazimierz W. z polityki swego ojca ścisły aljans z Węgrami i dążność do

---

<sup>1)</sup> Jan Dąbrowski: Dzieje Polski średniowiecznej II s. 9.

<sup>2)</sup> Ibidem s. 23.

<sup>3)</sup> Ibidem s. 126. Autor przytacza jeden z artykułów statutu wielkopolskiego, wedle którego królewskie nadania w ziemi „wieczną trwałość będą miały tylko dla tych, którzy polegali lub polegą w polu“.

utrzymania jak najlepszych stosunków z kurją papieską. To były jakoby podstawowe dogmaty jego polityki, — natomiast z sąsiedami od zachodu i północy prowadził grę polityczną wciąż zmienną, nadzwyczaj zręczną, ostrożną i czujną, wykorzystującą wszystkie zawikłania polityczne i wszystkie kłopoty ościennych władców, a zwłaszcza królów czeskich, śląskich książąt i krzyżackich mistrzów, żeby w danym momencie podkreślić interesy swoje i swego państwa i wyciągnąć wszystkie korzyści, możliwe do osiągnięcia. Przerzucał się też z obozu do obozu, zawierał aljanse i zrywał stosownie do wskazań politycznego rachunku. W tej jego polityce dokument, choćby dziesięciu pieczęciami obwieszony, stawał się w oczach jego bezwartościowym świskiem pergaminu z chwilą, gdy dalsze trzymanie się tekstu ugody mogło już być dla państwa szkodliwe. Był też pod tym względem Kazimierz W. całkiem godnym partnerem zarówno Zakonu krzyżackiego, jak czeskich Luksemburgów, przyczem jednak na jego korzyść należy koniecznie zaznaczyć to, że podczas gdy jego partnerom w dyplomatycznej walce chodziło przedewszystkiem o zaspokojenie własnej chciwości i dogodzenie własnym ambitnym planom, to polityka Kazimierza W. była nawskróś obronna: nie dążył do poderwania bytu innych narodów i państw, nie czyhał na cudze, jak Krzyżacy i Czesi, nie tępił i nie rabował, jak wszyscy sąsiedzi Polski, tylko ich dyplomatycznemi metodami bronił swoich praw i własności i dążył do odzyskania tego, co polskie. Takie były plany jego polityki zewnętrznej. Będzie się niemi kierował przez całe życie, wyzyska każdą sposobność, ażeby na szachownicy politycznej uczynić jakieś pociągnięcie, które go zbliży do wygranej, ale wiedział, że ta gra przeciągnie się w daleką przyszłość, a szanse wygrania będą tem większe, im bardziej wzmocni kraj i lepiej się przygotuje do ostatecznej rozprawy z wrogami.

\*

\*

\*



1. Rynek w Bochni.



**N**arazie dziedzictwo Kazimierza W. było jednym wielkim pojowiskiem, pełnym pustek i zgliszcz. Tatarskie, a potem krzyżackie napady, wreszcie pomory, dziesiątkujące od czasu do czasu miasta i wsie<sup>1)</sup>, wyludniły kraj tak, że w całym królestwie Kazimierza w chwili, kiedy na tron wstępował, nie było więcej, jak milion mieszkańców<sup>2)</sup>. Na miejscu wielu dawnych osad rozrósł się las, nie mówiąc już o tem, że były dotąd w kraju olbrzymie obszary leśne, których wogóle jeszcze nie tknęła siekiera ludzka. Dość wspomnieć, że diecezja krakowska była w XIV w. pokryta lasem na przestrzeni 19.000 km<sup>2</sup>, co stanowiło 35 % całego jej obszaru<sup>3)</sup>, a procent ten oczywiście znacznie wzrasta w odniesieniu do całej Małopolski. Ogromne bezludne obszary leżały w dorzeczu Wisłoki, a Podkarpacie było jednym olbrzymim borem, przerwany tylko kotliną żywiecką i sądecką, które już w XIII w. były skolonizowane dość silnie. Znaczne odcinki ważnych handlowych dróg, idących z Węgier ku Bałtykowi, szły na tym terenie leśnemi bezdrożami albo kamieniskami potoków i rzek. Na olbrzymich obszarach żadnego śladu kulturalnej ludzkiej pracy, żadnej osady, ani kościoła, a przecież była to połać kraju tak ważna zarówno pod względem strategicznym jak i handlowym i tak bliska stolicy kraju, a tak już zagrożona energicznym osadnictwem węgierskim, które poprzez przełęcz Karpat wcisnęło się już tu i ówdzie nawet na tereny, należące nominalnie do Polski<sup>4)</sup>. Więc zasiać te wszystkie puszcze tysiącem nowych osad, odbudować na całym obszarze państwa wszystko, co legło w gruzach, cały szereg wsi podnieść do godności miasteczek i uczynić je ogniskami ekonomicznego życia okolicy, nowemi

---

<sup>1)</sup> Chronica Olivensis (Mon. Pol. hist. V s. 344—348) opowiada obszernie o „czarnej śmierci“, która przeszła przez Polskę w 1349 r. Miały ją przywleć ze wschodu trzy genueńskie galery. Zaraza, spustoszywszy południową Europę, przeniosła się na Węgry, do Czech, Niemiec i Polski. Według ówczesnych relacji miała pożreć więcej niż  $\frac{1}{3}$  ówczesnej ludności Europy. cf. J. Ptaśnik: Kultura wieków średnich s. 33 i n. Pochód zarazy był w średn. wiekach zjawiskiem, powtarzającym się stale co kilka lat, niejednokrotnie też zaraza dziesiątkowała ludność Bochni.

<sup>2)</sup> Tad. Ladenberger: Zaludnienie Polski na początku panowania Kazimierza W. s. 29 i 35.

<sup>3)</sup> Ladenberger l. c. s. 55

<sup>4)</sup> Stan. Zachorowski: Węgierskie i polskie osadnictwo Spiżu (Rozpr. Ak. Um. S. II t. XXVII s. 208—210, 239 i passim.

przywilejami rozbudzić życie istniejących już miast, podnieść cechy, rozwinąć handel przez przywileje i traktaty z ościennymi władcami, a w związku z potrzebami handlu zaopiekować się drogami i zapewnić bezpieczeństwo kupcom, budować spichrze i gromadzić zapasy zboża na wypadek głodu i wojny, pociągnąć wszystkich do współpracy nad odbudową kraju, — oto był plan gospodarczy Kazimierza W., który w szczegółach rozwijał się oczywiście stopniowo, ale w głównych zarysach był ustalony już w pierwszych latach jego rządów. Tym planem objął król oczywiście całe państwo, ale najwięcej wysiłków gospodarczych włożył w rodzinną Małopolskę, którą słusznie uważał za kamień węgielny swego królestwa<sup>1)</sup>. I kierował się tutaj nie tyle sentymentem, jak raczej politycznym i gospodarczym zmysłem. Na tym też terenie przede wszystkim rozwinął swoją kolonizatorską działalność. Według obliczeń Oswalda Balzera<sup>2)</sup>, na 132 kazimierzowskich przywilejów lokacyjnych, dochowanych do naszych czasów, 78 przypada na Małopolskę, a 54 na Wielkopolskę. Oczywiście dużo takich dokumentów zaginęło<sup>3)</sup>, ale z góry można przypuścić, że i z pomiędzy tych zaginionych większość na Małopolskę i jej podkarpacki pas przypadała.

Znał Kazimierz W. dobrze każdy zakątek Małopolski, którą w ciągłych podróżach przebiegał wzdłuż i wszerz. Pilnie wglądał w potrzeby poszczególnych miejscowości i całych okolic, hojną ręką rozdawał przywileje lokacyjne, handlowe i cechowe, słowem budził i organizował życie. Wszędzie się łaskawie do ludzi zbliżał i wzamian zyskiwał ich miłość i przywiązanie, a ta jego łączność z Małopolską zacieśniała się z roku na rok coraz bardziej. Wymownym symptomem zaufania, jakie żywił do Małopolan, jest także to, że z pomiędzy nich najchętniej dobierał sobie doradców i powierników i że na małopolskich rycerskich rodach przede wszystkim się oparł<sup>4)</sup>.

---

1) J. Dąbrowski: *Dzieje Polski* t. II s. 100—101.

2) O. Balzer: *Państwo polskie w XIV i XVII w.* (Kw. hist. R. 1907 s. 200)

3) (Kronika Janka z Czarnkowa) *Mon. Pol. hist.* II p. 628 — „Huius regis tempore in silvis, nemoribus, rubetis tot villae et oppida locata sunt, ne fere quot fuerunt alias in regno Poloniae“.

4) J. Dąbrowski: *Dzieje Polski* t. II s. 134—135; Fr. Bujak: *Studja hist. i społeczne* s. 66.

W gospodarczych swoich wysiłkach zwrócił Kazimierz W. baczną uwagę na handel. Niestety — Polska własnych swoich produktów na wywóz miała niewiele. Prócz niewchodzących w rachubę niewielkich ilości krajowego sukna, barchanu i płótna, były to prawie wyłącznie płody surowe, jak sól, ołów, zboże, drzewo, skóry, воск, popiół, oraz półfabrykaty jak maź i smoła<sup>1)</sup>. Poważną pozycję eksportu polskiego w czasach kazimierzowskich stanowiła właściwie tylko sól i ołów. Narazie o wiele większe zyski obiecywał handel przewozowy, gdyż właśnie przez Polskę biegly i krzyżowały się na terenie zachodniej Małopolski ważne drogi handlowe, z których jedna, znana już w starożytności, szła przez Sądeczyznę, Bochnię i Kraków do Torunia i Gdańska, druga, znacznie młodsza, łączyła zachód Europy poprzez Kraków z bliższym i dalszym Wschodem. Wyzyskać te obie drogi, przerwać bezpośrednią łączność kupców węgierskich z Prusami, a kupców flandryjskich i niemieckich z Włodzimierzem Wołyńskim, a cały zysk z pośrednictwa handlowego na terenie Polski zapewnić kupcom polskim: to było celem polityki handlowej Kazimierza W. Troska o te korzyści była obok spraw dynastycznych duszą wszystkich dyplomatycznych stosunków Kazimierza z władcami Węgier i trzeba stwierdzić, że odnośnie jego zabiegi przyniosły handlowi polskiemu bardzo znaczne korzyści.

Mniej wyraźnie przedstawiała się z początkiem panowania Kazimierza W. sprawa handlu ze Wschodem, w którym Polska aż dotąd właściwie żadnego udziału nie brała<sup>2)</sup>. Dopiero Kazimierz Wielki próbował i z tego handlu korzyści dla Polski wyciągnąć i szukał sposobności nawiązania stosunków handlowych z Włodzimierzem Wołyńskim, a przez Włodzimierza z kolonjami genueńskimi nad morzem Czarnem. Sposobność do podjęcia odpowiednich kroków nadarzyła się niespodzianie, kiedy po bezpotomnej śmierci książąt Halicza i Włodzimierza otwarła się przed Kazimierzem z tytułu pokrewieństwa nadzieja pozyskania Rusi dla siebie. Kilkakrotne jego wyprawy na Ruś uwieńczyły pożądaną skutek, a opanowawszy Ruś, zbliżył się Kazimierz tem samem o wielki krok do owego sezamu handlowego, o którym na zachodzie Europy opowiadano dziwy. Handlowym planom

---

<sup>1)</sup> (B. Janowski: Polska i Hanza) Przegląd polski t. 144 s. 46 i Kutrzeba: Handel Krakowa s. 64—66.

<sup>2)</sup> St. Kutrzeba: Handel Polski ze Wschodem (Przegl. polski t. 148 s. 194).

króla przysły równocześnie w pomoc dziejowe wypadki, które się rozegrały daleko poza Polską. Aż dotąd handel Genui z jej czarnomorskimi kolonjami odbywał się przeważnie drogą morską. Kiedy jednak w r. 1340 wybuchła między Genuą i Turcją wojna, której końca trudno było przewidzieć, i uniemożliwiła handel morski ze Wschodem, musieli kupcy genueńscy szukać dla siebie innych dróg, omijających teren wojny, a taka właśnie droga, możliwie najkrótsza ze wszystkich, prowadziła z Kaffy przez Pokucie i świeżo zajętą Ruś w stronę Krakowa i stąd dalej na zachód, do Wrocławia i Flandrii. Ta droga handlowa stała się też teraz głównym łącznikiem zachodniej Europy z całym Wschodem. Wzdłuż tego szlaku zakładali genueńczycy swoje kantorie i składy, przyczem Lwów i Kraków stały się na terenie Polski głównymi ogniskami całego lewantyńskiego handlu. Zwłaszcza w Krakowie osiadali teraz licznie genueńczycy i była to jedna z tych wyjątkowych immigracji, które przyniosły Polsce nie uszczerbek i klęskę, jeno korzyść. Na uznanie zasłużyli sobie nie tylko tem, że się przyczynili w znacznej mierze do ożywienia ekonomicznego ruchu w Polsce, ale, że równocześnie służyli nowej ojczyźnie wiernie<sup>1)</sup> i nie byli w niej jakimś ciałem obcym, jak Niemcy, albo Żydzi. Pośrednio ich zasługą był w pewnej mierze także rozkwit innych poza Krakowem i Lwowem większych miast, leżących wzdłuż wymienionego handlowego szlaku.

Między temi ostatnimi Bochnia wysuwała się znaczeniem i ruchliwością na plan pierwszy, a zawdzięczała to nie tylko swoim kopalniom i rozwiniętemu już znacznie handlowi soli, ale i dawności swoich urzędzeń miejskich, gdyż, jak wiadomo, zyskała magdeburgję wcześniej (r. 1253), niż którekolwiek inne z miast małopolskich, nie wyłączając Krakowa. Górowała też nad swemi małopolskimi siostrzycami liczebnością mieszkańców, ustępując miejsca pod tym względem tylko stolicy i Sandomierzowi, a pozostawiając daleko poza sobą wszystkie inne małopolskie miasteczka i miasta<sup>2)</sup>. Jeżeli się do tego doda, że były przed nią możliwości dalszego rozwoju znacznie większe, niż przed innymi

<sup>1)</sup> cf. Testament Gotfryda de Faffinante, Najst. księgi m. Krak. s. 196, oraz Kod. Kat. Krak. II s. 182—185.

<sup>2)</sup> Ladenberger op. cit. s. 37. Bochnia według obliczeń tego autora liczyła z początkiem panowania Kazimierza W. 2.400 mieszkańców, Kraków 10.630, Sandomierz 2.470, Nowy Sącz 1.240, Stary Sącz, 1.240, Tarnów 1.040, Sławków 950, Wiślica 500 i t. d.



2. Bochnia. Widok na część miasta od strony południowej.



provincjonalnymi miastami Małopolski, nie zdziwimy się, że Kazimierz W. gorliwie się nią zajął. Miejskowa tradycja wiąże z imieniem Kazimierza W. najświetniejszy okres dziejów tego miasta i jemu przypisuje wszystko, co Bochni niegdyś dodawało splendoru i wyносиło ją ponad wiele innych prowincjonalnych miast, jak obronne mury, zamek żupny, gotycki ratusz w rynku, wielkie przywileje handlowe i bardzo serdeczne związki króla z miejscowem obywatelstwem. Jak się ta sprawa przedstawia w świetle historycznych dokumentów, co w tej tradycji jest złotem malowidłem fantazji, a co prawdą, to w następnych rozdziałach spróbujemy wyjaśnić.



## II

**D**zieje bocheńskich salin przed wstąpieniem Kazimierza W. na tron nie są dokładnie znane. Wiadomo, że wywarzono tu sól już w XII w. i że po 1251 r. t. j. po wybiciu pierwszego szybu, mimo że zaczęto już eksploatować w wielkiej ilości sól kamienną, warzelnie pracowały bez przerwy dalej. Nie wiemy, jacy ludzie pracowali w tych dwóch warsztatach produkcji solnej i w jakim stopniu reprezentowali oni górnictwem, względnie warzelniczą fachowość. Zachowało się wprawdzie z XIII w. kilka nazwisk osobistości zasłużonych około bocheńskich salin, ale czy ich zasługi dotyczyły jakich ulepszeń w metodach górniczej pracy, czy też może raczej byli to tylko administratorowie, którzy księżęce dochody z żup umieli wydatnie podnieść, tego nam odnośne dokumenty nie wyjaśniają. Że jacyś obcego pochodzenia fachowcy musieli w tej pracy uczestniczyć, w to trudno wątpić, jeśli się zważy, że zwłaszcza wybicie szybu głębokiego na 70 m., gdyż w takiej głębokości rozpoczynają się w Bochni zwarte pokłady soli, było zadaniem, przechodzącym znacznie siły zwykłego studniarza. Szczególną trudnością sprawiało przeprowadzenie konstrukcji szybu przez kilkumetrową warstwę zydzu<sup>1)</sup>, który naporem swojej ruchliwej wilgotnej masy, wykręcał i zgniatał potężne pierścienie cembrzyny, zbudowanej z dębowych bierwion. *Daemon metallicus!* Zachowany protokół bicia szybu w 1564 r.<sup>2)</sup> daje ciekawy obraz tego zabobonnego strachu, jaki ogarniał robotników i urzędników żupnych, kiedy w głębokości kilku czy kilkunastu sążni natrafili na warstwę zydzu. Milkło wtedy wszystko.

<sup>1)</sup> Zydz (na Śląsku zysk) inaczej kurzawka, pokład wilgotnego piasku zmieszanego z gliną. Często spotykana geologiczna warstwa leżąca kilkanaście i kilkadziesiąt metrów pod powierzchnią ziemi.

<sup>2)</sup> Ambr. Grabowski: *Starożytności historyczne polskie* I s. 39—42.

mówili wszyscy szeptem, byle tylko drzemiącego zła nie budzić, nie drażnić. Nikt nie patrzył na ten wilgotny piach jak na materję bezduszną, której siła leży tylko w bezwładności i masie: każdy górnik dopatrywał się w nim jakiejś istoty żywej, złośliwej, myślącej tylko o tem, aby jak najbardziej pokrzyżować wysiłki ludzkie i nie dopuścić człowieka do ukrytych pod ziemią skarbów. Całe słownictwo dotyczące kurzawki, antropomorfizm w wyrażeniach takich, jak: *pazdury zydzu*, — *ślepia*, — *macki*, — *skrada się*, — *pełźnie*, — *spi*, — ilustruje aż nadto wyraźnie sposób patrzenia górnika na tę żywiołową siłę, którą tak trudno było dawnemu górnictwu opanować. *Daemon metallicus!* Sprawdzano księdza, który odmawiał coś w rodzaju egzorcyzmu nad tym wilgotnym piaskiem, kropił go święconą wodą i odzęgnywał zło, podczas gdy górnicy w ciszy i skupieniu odmawiali koronkę do Matki Boskiej. Mordowano się nieraz całe tygodnie i miesiące, żeby cembrzyną szybu przebić się przez tę złowrogą masę, a przytem nie zboczyć z pionu, a kiedy się to po wielu trudach udało, uroczystą wotywą dziękowano Bogu. O niszczycielskiej sile zydzu mogłaby opowiedzieć ruina niejednego szybu, niejedno bocheńskie zawalisko. Jego to napór zdołał przesunąć cembrzynę szybu Regis w Bochni o jakie 4 do 5 metrów, co jeszcze dzisiaj stwierdzić można, a zawalenie się szybu Kampi — już w naszych czasach<sup>1)</sup> — to także w pierwszym rzędzie dzieło zydzu.

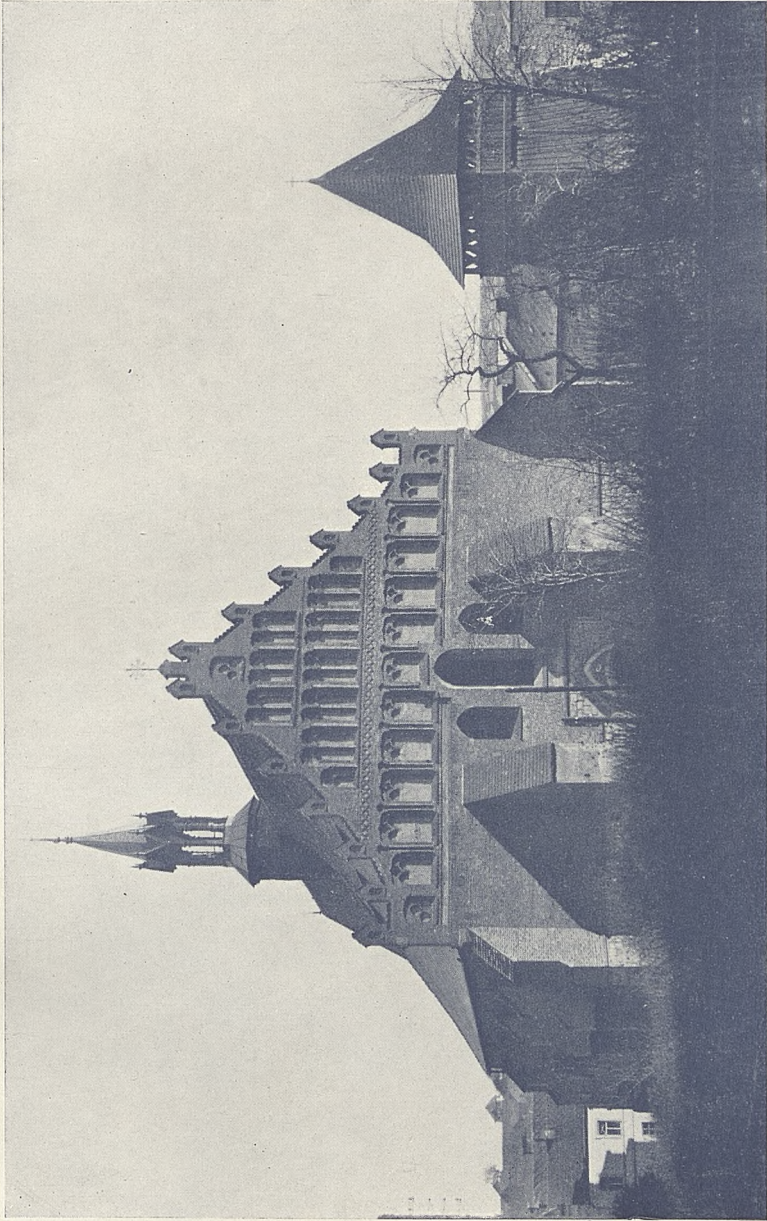
Przytoczona wyżej relacja bicia szybu pochodzi wprawdzie z XVI w., ale cały ten opis można przenieść śmiało także i w XIV w., bo i trudności wiercenia szybu musiały być wtedy conajmniej tak samo wielkie, a także w sposobie patrzenia na zydza nie mogło być chyba w XIV w. mniej mistyki, niż w oświeconych zygmuntońskich czasach. W każdym razie, jeżeli się uwzględni trudności, jakie nastręczało już samo wybijanie szybu, musimy przyjąć, że i w najdawniejszych czasach obok pracowników domorostych, musiały w górnictwie naszym być zajęte także siły fachowe, oczywiście obce. Zachował się zresztą dokument, jeszcze przez Leszka Białego wystawiony<sup>2)</sup>, świadczący, że takich specjalistów-górników u nas już w XII w. poszukiwano i starano się ich ściągnąć z zagranicy. Równocześnie

<sup>1)</sup> Kod. Kat. Krak. I s. 16—17.

<sup>2)</sup> cf. J. Naturski: Einige interessante Gebirgserscheinungen nebst Gebirgsdruckberechnungen bei den Gewaltigungsarbeiten des Schachtes „Campi“ in Bochnia (Montanist Rundschau. J. IV (1912) s. 1294 i n.).

stwierdzić trzeba, że w tych średniowiecznych robotach górniczych było bardzo dużo partactwa, że było to przeważnie jakieś prymitywne grzebanie pod ziemią, rabunkowe wybieranie pokładów najczystszej soli, przebijanie się przez warstwy ilów, anhydrytów, gipsu i soli bez żadnych pomiarów, bez starania się o to, ażeby wszystkie chodniki utrzymane były w poziomie, i bez tej górniczo-gospodarczej świadomości, że podziemne groty powinny się łączyć z chodnikami tak, ażeby wykute z soli bałwany można było przetoczyć łatwo na podszybie. Zachowane jeszcze dzisiaj czeluście w t. zw. starych górach, w najbardziej na wschód wysuniętej części kopalni, dają wyobrażenie o tej nieumiejętnej odbudowie soli w odległych czasach. Te „stare góry“ to zdradziecki labirynt przepaścistych chodników i ciasnych szczelin, rozsuwających się tu i ówdzie w fantastyczne komory, podobne do jakichś podziemnych pagod. Chodniki nieutrzymane w poziomie, to opadające wdół, to znowu podnoszące się nagle wgórę, wytworzyły zagłębienia, w których się zbierała woda, ściekająca obficie ze wszystkich ścian, a zwierciadło wody, podnoszące się z każdym tygodniem coraz bardziej, wkońcu zamykało zupełnie przejście. Tu i ówdzie znowu chodnik urywa się przepaścią w grotę, wkopaną wdół. Łatwo sobie wyobrazić, jak w miarę wybierania soli obniżało się dno komory i coraz trudniej było wciągać bałwany solne, czy też beczki, wypełnione solą drobną, na położony wyżej chodnik i wreszcie trzeba było przerwać roboty w danym miejscu i przez wybicie nowego szybu otworzyć sobie drogę do dalszych pokładów soli. I chyba tylko tą nieumiejętnością łączenia chodników i grot w jednolite podziemne gospodarstwo można sobie wytłumaczyć to częste w wiekach średnich wybijanie nowych szybów. Podczas gdy dziś dwa szyby Sutoris i Kampi wystarczają do obsłużenia kilkupiętrowej kopalni, rozbudowanej na przestrzeni trzech kilometrów, dawniej co kilkadziesiąt metrów bito szyb nowy, a stary opuszczano, niejednokrotnie na zawsze. W jego miejscu powstało zbiegiem czasu lejowate zawalisko, a kiedy się po kilku dziesiątkach lat i ono zarównało, wszelki ślad po takim pierwotnym szybie ginął. Pamięć jakiegoś odwiecznego szybu kryje się w nazwie ulicy Solna Góra, zwanej niegdyś Górą Salomona, *Mons Salomonis*<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> W protokole komisji żupnej z 1659 r. jest wzmianka, że w ogrodzie bachmistrza Walerjana Żmijewskiego na górze Salomona jest zawalisko szymbowe dookoła ogrodzone. Być może, że to zawalisko było pozostałością szybu Salomona.



3. Bochejska fara šv. Mikolajja.



W średniowiecznych dokumentach niema żadnej wzmianki o takim szybie, ani też o jakimś Salomonie, któryby w dziejach bocheńskich salin jakąś odegrał rolę, a przecież ta nazwa wskazuje niewątpliwie na jakiegoś żupnika, czy bachmistrza, który w tej stronie szyb swój zbudował. Zaginął też wszelki ślad po szybie jakiegoś Kożuszka<sup>1)</sup> i Hermolausa<sup>2)</sup>, które należały niewątpliwie do najstarszych, bo istniały jeszcze w XIV w., a któż wie, ile takich szybów zniknęło bez śladu.

Łatwo sobie też wyobrazić, że i wewnątrz kopalni mnóstwo górniczych wysiłków szło na marne, zanim drogą długoletnich doświadczeń i prób rozwinęła się górnicza wiedza bachmistrzów i sztygarów w tym stopniu, żeby wszystkie ich prace i wysiłki mogły być owocne. A jednak mimo niskiego poziomu pierwotnego górnictwa w Bochni, produkcja soli była już w XIII w. niewątpliwie bardzo duża, a fakt, że każdy nowy szyb natrafiał na pokłady soli, zbudził wiarę, że saliny bocheńskie to skarbiec bez dna, z którego można czerpać bez końca i miary, i bez obawy, żeby tych skarbów miało kiedyś braknąć. I tylko tą wiarą w niewyczerpane bogactwa krakowskich żup można wytłumaczyć to nadmierne szafowanie solą, te liczne nadania książęce na rzecz biskupów krakowskich i kapituły, na rzecz cystersów w Ołoboku, Jędrzejowie, Mogile i Wąchocku, benedyktynów w Tyńcu i różnych klasztorów żeńskich, wreszcie ludzi prywatnych, którzy za jakieś rzeczywiste, czy urojone zasługi wobec salin bocheńskich otrzymywali dziedziczne przywileje na pobieranie bezpłatne jakiejś ilości soli w bocheńskiej żupie, względnie relutum w gotówce. Szczególnie hojny w tych świątobliwych nadaniach Bolesław Wstydlivy, przerażony pod koniec życia ogromem ciężarów, które on i jego poprzednicy na żupy bocheńskie nałożyli, w 1278 r. wszystkie te nadania próbował skreślić<sup>3)</sup>. Na mocy jego rozporządzenia odpadły wtedy z pensjonarza żupnego niedość silnie uzasadnione pretensje osób prywatnych, natomiast z biskupami, kościołami i klasztorami było trudniej, bo posiadacze odnośnych przywilejów mogli się bronić grozą klątwy

<sup>1)</sup> „Mons seu salisfodina Cozuzkonis“ (r. 1341) Kod. dypl. Mpol. I s. 253. Mikołaj, obywatel bocheński sprzedaje swój berkracht (przywilej górniczy) w szybie Kożuszka (in monte seu salis fodina Cozuzkonis) Mikołajowi Rusinowi, obywatelowi sądeckiemu. R. 1341 Kod. dypl. Mpol. t. I s. 253.

<sup>2)</sup> Wymieniony u J. A. Kmity: Simbola officialium (r. 1605) jako szyb zawalony (fodina obruta).

<sup>3)</sup> Kod. kat. krak. I s. 106—107.

kościelnej przed każdą próbą odebrania im nabytych uprawnień, i stwierdzić trzeba, że większość kościołów i klasztorów obdarowanych solnemi deputatami, pomimo tej bolesławowskiej kasały w dalszym ciągu korzystała ze swoich odnośnych przywilejów. W twierdzeniu Hrdiny<sup>1)</sup>, że te nadania w pewnych okresach czasu pochłaniały prawie całoroczną produkcję soli, jest oczywiście dużo przesady, niemniej jednak stwierdzić trzeba, że te serwituty były wprost zmorą, ciężącą na kopalni, i niepomrotnie pomniejszały jej dochodowość.

Taki był stan gospodarki salinarnej w chwili, kiedy Kazimierz W. na tron wstępował. I on wprawdzie, podobnie jak jego poprzednicy i następcy, uważał saliny krakowskie, a zwłaszcza kopalnię bocheńską za bezcenny i niewyczerpany skarb, ale chciał z niego przedewszystkiem dla siebie i dla państwa korzyści ciągnąć. W bezpłatnem szafowaniu solą był wstrzemięźliwy, a dawne nadania i barkrechty poddał rewizji, skreślając te, które uznał za niedość silnie ugruntowane<sup>2)</sup>. Pragnął też wszechstronnie ulepszyć gospodarkę salinarną, podnieść do maximum produkcję soli i znaleźć dla niej jak najliczniejsze rynki zbytu. Hrdina<sup>3)</sup> podaje dość zabawną wiadomość, że dopiero w 1334 r., a więc w drugim roku panowania Kazimierza W. zaczęto w zarządzie żupy używać atramentu. Skąd wziął tę wiadomość, niewiadomo. Wygląda to na tradycję, która jakby symbolicznie utrwaliła fakt, że w administracji żupnej wprowadzono już w drugim roku panowania Kazimierza W. księgowość, a w związku z nią i kontrolę.

Do prowadzenia takiego wielkiego przedsięwzięcia trzeba było odpowiednich ludzi, a musieli to być zarazem bogacze gdyż żupnik był zazwyczaj także dzierżawcą żup, a czynsz dzierżawny był odpowiednio do wartości obiektu dzierżawionego bardzo wysoki<sup>4)</sup>. Między żywiołem polskim trudno było takiego żupnika dzierżawcę znaleźć, a do Niemców Kazimierz W. zbył

1) Joh. Nep. Hrdina: *Gesch. d. Wieliczkaer Saline* (r. 1842) s. 15.

2) *Ordinatio salinarum* (z r. 1368) § 47 i Helcel St. p. p. I 223; *Kod. dypl. Mpol. IV* s. 116—117.

3) Hrdina *op. cit.* s. 13.

4) Jakób Caro (*Geschichte Polens II* s. 330), opierając się na § 38 kazimierzowskiej Ordynacji żupnej, sądzi, że r. 1368 poraz pierwszy żupy solne zostały wypuszczone w dzierżawę i że zatem poprzednio oddawane były żupnikom wyłącznie „do rąk wiernych“, zdaje się jednak, że odnośny ustęp Ordynacji do takiego wniosku nie uprawnia.

wielkiego zaufania nie miał. Dali się już poznać jako żywioł politycznie niepewny, który się z polską racją stanu dotychczas pogodzić jeszcze nie umiał. Uważali się jeszcze wciąż jakby za ekspozyturę niemiecką na ziemi polskiej, starali się utrzymać jak najściślejszy kontakt ze swą macierzą, i dla interesów niemieckich gotowi byli zawsze zdradzić swojego polskiego pana<sup>1)</sup> Kazimierz W. był wprawdzie wolny od jakichś nacjonalistycznych, czy rasowych uprzedzeń, zwłaszcza tam, gdzie chodziło o gospodarcze korzyści, ale w stosunku do Niemców był przezorny i czujny, a odnośne wątpliwości musiały się w nim budzić szczególnie silnie, kiedy chodziło o dzierżawę żup solnych. Nie mógł bowiem nie pamiętać, że właśnie żupnicy Niemcy, Witko i Albert, którzy się przy żupach królewskich dorobili fortun, odwzięczyli się Łokietkowi w ten sposób, że w r. 1311 wraz z wójtem krakowskim Albertem otwarciem przeciwko niemu wystąpili.

Na takim tle łatwo zrozumieć zwrot króla Kazimierza do osiadłych w Polsce wielkich geneueńskich kupców, którzy dysponowali kapitałami, wystarczającymi na wzięcie w dzierżawę żup krakowskich, a przytem znani byli z przedsiębiorczości i organizatorskiego sprytu.

W r. 1344 administracja żup solnych dostaje się po raz pierwszy geneueńczykowi w osobie Paulina Cavallo, bogatego krakowskiego kupca, i odtąd już do końca panowania Kazimierza W. i potem jeszcze za Ludwika Węgierskiego i Jagiełły, raz po raz widzimy geneueńczyków na stanowisku żupników i administratorów salin. Wybór ludzi był trafny, bo zarówno wymieniony Paulinus Cavallo, jak i jego następcy Peterlinus i Gotfryd de Fattinante, byli to przedsiębiorcy w wielkim stylu, ludzie, którzy z kupieckim sprytem i ruchliwością łączyli uczciwość kupiecką, a z chęcią osobistego zysku wybitnie obywatelski zmysł i rzetelną troskę o podwładnych im robotników. Tym geneueńczykom zawdzięczają saliny swoją słynną wtedy organizację i rozrost.

Wymieniony Paulinus Cavallo<sup>2)</sup>, syn Hugera z Genui, dzierżawił żupy solne i kierował nimi jako żupnik aż do swej

<sup>1)</sup> cf. (Wł. Abraham: Sprawa Muskaty) Rozpr. Ak. Um. S. II t. V s. 137.

<sup>2)</sup> W Najst. księgach m. Krakowa występuje on jużto pod nazwiskiem Pasko, już Paulinus Gallicus. J. Ptaśnik (na podst. Theinera M. P. I. p. 459 Nr. 646) wykazał, że nazwisko jego brzmiało: Paulinus Cavallo i że jego ojcem był Huger z Genui. (J. Ptaśnik: Włoski Kraków S. 60).

śmierci w r. 1358, to jest przez lat 14. O jego skrzętności i administracyjnych zdolnościach świadczy rozkwit żup, który się właśnie w tym czasie zaczął, a zwłaszcza wzmożony wywóz soli, dla której król dzięki swym przyjacielskim stosunkom z Ludwikiem Węgierskim uzyskał w r. 1354 dostęp do całych północnych Węgier aż po linję, oznaczoną miastami Saros i Liptow<sup>1)</sup>. Wzrastał się tedy królewski skarb, ale i majątek żupnika równocześnie wzrastał. Według zapisków w ówczesnych krakowskich księgach miejskich, nabył Cavallo w Krakowie w okresie swojego żupnikostwa cały szereg kamienic, między temi trzy domy w rynku<sup>2)</sup>. Posiadał nadto w Krakowie wielki skład sukna<sup>3)</sup>. Ten ostatni szczegół świadczy, że Cavallo brał udział, jak i inni osiadli w Krakowie genueńscy, w wielkim handlu flandryjsko-lewantyńskim.

Dzięki jego majątkowi, wysokiemu stanowisku i wziętości u króla pozycja jego między krakowskiem mieszczaństwem musiała być wyjątkowo silna, a jednak nie widzimy, ażeby przez cały, przeszło dziesięcioletni okres jego potęgi i znaczenia, powołano go choć raz na jakiś miejski urząd. Dopiero w r. 1357 po raz pierwszy spotykamy jego nazwisko na liście krakowskich rajców<sup>4)</sup>. Jak to wytłumaczyć? Otóż zdaje się nie ulegać wątpliwości, że przez cały czas swoich faktycznych rządów w żupie Paulinus Cavallo nie mieszkał w Krakowie, ale w Bochni, gdzie zarówno jego interesy majątkowe, jak i odpowiedzialne, a zawiłane obowiązki żupnika, wymagały ciągłej jego obecności i jak największej czujności. Należy przytem podkreślić, że Paulinus był to typ człowieka, którego całą energję pochłaniała praca, a obowiązki zawodowe przysłaniały mu dom i rodzinę. Dopiero kiedy w r. 1357<sup>5)</sup>, już pewnie znużony pracą i pochylony wiekiem, przypuścił do współrządów z sobą w żupie swego energicznego bratanka, Peterlina Cavallo, i dzięki temu mógł już sam nieco odpocząć, wtedy dopiero na resztkę życia osiadł znów na stałe w Krakowie i w r. 1357, na rok przed śmiercią otrzymał godność miejskiego rajcy.

<sup>1)</sup> Kutrzeba: Handel Krakowa s. 60; J. Dąbrowski: Kraków a Węgry s. 193.

<sup>2)</sup> Najst. księgi m. Krakowa, zap. Nr. 1564, 1607, 1610, 1617, 1653.

<sup>3)</sup> Ibid. zap. Nr. 1624.

<sup>4)</sup> Ibid. s. 195.

<sup>5)</sup> J. Ptaśnik: Włoski Kraków s. 57.

Niezwykle piękną postacią w dziejach bocheńskich salin był wymieniany już wyżej Peterlinus, bratanek Paulina Cavallo, jego zrazu współnik, potem następcą<sup>1)</sup>. Także on, podobnie jak jego stryj, miał w Krakowie swoje domy i kupieckie interesy, a jednak związał się więcej z Bochnią, w niej osiadł, do rady miejskiej wszedł<sup>2)</sup> i z całą życzliwością służył miastu i mieszczanstwu, jak umiał najlepiej. Z tytułem żupnika występuje w dokumentach po raz pierwszy w r. 1357 i dzierży ten urząd do r. 1359. Możliwe jednak, że jego współrządy z Paulinem rozpoczęły się nieco wcześniej, w każdym razie już dłuższy czas przed wymienioną datą musiał przy żupie pracować, gdyż w r. 1357 przedstawia nam się już jako człowiek, który miał czas nie tylko gruntownie rozejrzeć się w kopalnianych stosunkach, ale i wyjść poza sferę li tylko zagadnień administracji kopalnianej i poza kalkulację, a wglądnać głęboko w stosunki robotnicze. Musiał być i administratorem żup doskonałym, a w rachunkach składanych królowi skrupulatnym i uczciwym, kiedy go Kazimierz W. w r. 1359 powołał do komisji, mającej zbadać rachunki kilku komór celnych, dzierżawionych przez Jana Borka, późniejszego żupnika.

Na szczególniejszą jednak pamięć zasłużył sobie Peterlinus za swą szlachetną inicjatywę w sprawie założenia szpitala dla okaleczonych górników w Bochni. Z przywileju, o którym niżej będzie mowa, wynika, że troską swą objął on nie tylko górnicze kaleki, ale całą grupę robotników, najbardziej upośledzoną i najbiedniejszą, jaką stanowili t. zw. otrocy. Otroków nie należy mieszać z t. zw. „robotnikami królewskimi“, którzy z dziada pradiada pracowali w kopalni, mieli oparcie w uprzywilejowanych górniczych organizacjach i mieli się stosunkowo dobrze. Położenie socjalne otroków było zupełnie inne. Byli to robotnicy prywatni, których na mocy przywilejów książęcych, względnie królewskich, zwanych *barkrecht*, różni zasłużeni żupnicy i bachmistrze, względnie ich spadkobiercy osadzali w kopalni w oznaczonej w przywileju liczbie, z tem, że cały dochód z ich pracy wpływał do kieszeni ich panów. Byli to półniewolnicy, których los zależał najzupełniej od dobrej woli chlebowawcy. Takiego

<sup>1)</sup> J. Ptaśnik nazywa go najwybitniejszym z genuńczyków, gallikami zwanych. Studja nad patrycjatem I s. 91.

<sup>2)</sup> Kod. Mpol. III s. 10—III; Ptaśnik: Włoski Kraków s. 61 i Kultura włoska s. 31.

otroka można było darować, zastawić, albo sprzedać jak rzecz, a wartość jego oceniano w XIV w. na 30 do 40 grzywien<sup>1)</sup>. Dola takiego niewolnika stawała się godną opłakania z chwilą, kiedy z powodu jakiegoś wypadku w kopalni uległ kalectwu: wyrzucano go na bruk i nie pozostawało mu nic innego, jak tylko żebrać. I oto wielką zasługą żupnika Peterlina było to, że się losem tych bezdomnych kalek zajął. Zainteresował ich sprawą radę miejską, której był członkiem, i wspólnie z nią roztoczył przed królem obraz ich niedoli, prosząc o wzięcie ich w opiekę. Uliłował się Kazimierz W. nad losem nędzarzy i w czasie pobytu swego w Bochni, 26 lipca Roku Pańskiego 1357 wydał przywilej<sup>2)</sup>, mocą którego zezwala bocheńskiej radzie miejskiej wznieść w miejscu odpowiedniem przytułek pod wezwaniem św. Krzyża dla dwunastu bezdomnych inwalidów górniczej pracy, a sam ze swej strony bogato tę instytucję uposaża. Przywilej ten odbija swą niezwykłą stylizacją od wszystkich innych dokumentów, wystawionych przez kazimierzowską kancelarję. Nie jest to suchy schematyczny tekst, układany według gotowego szablonu, przejętego z *Liber formularum*, ale akt pisany na gorąco, jak gdyby pod bezpośredniem wrażeniem, wywołanem widokiem snujących się ulicami kalek. Wprost wzruszające są słowa dokumentu, poświęcone tym weteranom pracy, „którzy jakby wygnańcy i sieroty ze wszystkich stron świata się zeszli i przy pracy w górach bocheńskich wskutek nieszczęśliwych wypadków ręce i nogi łamią i nadwierzają ciała swoje, tak, że już pracować dłużej nie mogą, — i straszny los ich nęka, ponieważ kalectwa się nabawiwszy nie mają gdzie głowy swojej skłonić i niema nikogo, ktoby się nimi zaopiekował“. Dotacja królewska na rzecz przytułku polegała na tem, że we wszystkich bocheńskich szybach, zarówno już istniejących, jak i tych, które w przyszłości otwarte zostaną, miało odtąd pracować na korzyść szpitala po dwóch górników, których sobie rada miejska sama dobierze i przy

<sup>1)</sup> W r. 1378 Jan Erstos Satrbinius sprzedaje 6 swoich otroków w kopalni boch. Hankowi z Zakliczyna za 200 grzywien. Kod. Mpol. I. s. 406—407. W r. 1377 kr. Elżbieta nadaje prebendarzowi kaplicy św. Marji Egipc. w katedrze krak. 20 grzyw. rocznie, jako dochód z pracy dwóch otroków, zatrudnionych w kopalni boch. Kod. kat. krak. II. s. 63; w r. 1467 Jan z Sierczy sprzedaje dwóch otroków w kopalni wielickiej Grzegorzowi, wójtowi myślenickiemu za 130 grzywien. Star. prawa pol. pomn. II zap. 3866.

<sup>2)</sup> Kod. Mpol. III s. 110—111; St. Fischer: Losy kazimierzowskiej fundacji s. 6.

pracy osadzi i będzie ich mieć w swej ewidencji. Radzie miejskiej powierza król naczelny zarząd i opiekę nad tą, mającą powstać fundacją. Rada będzie wyznaczała stałego rektora szpitalnego. O ile nim będzie ksiądz, to dobór osoby ma się odbywać w porozumieniu z biskupem. Gdyby rektorem był człowiek świecki, musi sobie dobrać stałego wikarego, któryby się troską o dusze zajął. Dokument fundacyjny kończy się zachętą, zwróconą do rajców miejskich, aby jak najrychlej szpital wzniesli i jak najgorliwszą rozciągnęli nad nim pieczę<sup>1)</sup>.

Szpital stanął poza murami miasta na terenie, zamkniętym dziś ulicą Świętokrzyską, Oracką i Ludwika Stasiaka. Przy szpitalu wzniesiono kaplicę.

Założenie tej instytucji było piękną potrzebą społeczną, to też ówczesne społeczeństwo odniosło się do niej życzliwie i ze swej strony starało się majątek fundacji zwiększyć. Już Długosz stwierdza, że do szpitala św Krzyża należało 6 łanów ziemi<sup>2)</sup>. Stara tradycja głosi, że i ta ziemia została szpitalowi nadana przez króla Kazimierza, wydaje się jednak bardziej prawdopodobne, że tej ziemi nazbierało się tyle drogą mniejszych i większych darowizn obywatelskich. Tradycji kazimierzowskiej, o ile chodzi o szpitalne grunty, zdaje się przeczyć nie tylko to, że w przywileju niema żadnej wzmianki o ziemi, ale także fakt, że grunty szpitalne rozrzucone były w drobnych kawałkach na terenie należącym do miasta i tylko przy ulicy Trudnej, gdzie zczasem powstał szpitalny folwark, było tej ziemi kilkadziesiąt morgów, tworzących zwartą całość. Ponieważ jednak i ten grunt także leżał na terenie, stanowiącym już od 80 lat własność miasta, nie mógł być tem samem nadanym szpitalowi przez króla Kazimierza.

Fundacja kazimierzowska była jednym z pierwszych w Polsce<sup>3)</sup>, a najszlachetniej pomyślanem i przeprowadzonym dziełem opieki społecznej nad robotnikiem. Nie zmniejsza zasługi Kazimierza W. to, że inicjatywa wyszła skądinąd, ani to także, że nie uważał za wskazane wyłącznie własnym kosztem szpital bocheński wyposażyć. Stałym swoim zwyczajem król poparł swoim autorytetem myśl szlachetną i twórczą, ze swojego dał tyle, ile

<sup>1)</sup> Oryginalny łaciński tekst przywileju, v. St. Fischer op. cit. s. 36, przekład polski ibid. s. 7—8.

<sup>2)</sup> Lib. ben. II s. 128.

<sup>3)</sup> Jeszcze przed Kazimierzem założył na mniejszą skalę przytulisko dla chorych górników w Sławkowie bp. Jan Muskata, v. Lib. ben. III s. 56 i 57.

trzeba było, ażeby zawiązek dzieła stworzyć, ale równocześnie, jak zawsze, usiłował wciągnąć do współpracy społeczeństwo i to mu się w pełni udało. Jeżeli się do tego jeszcze doda, że kilka lat później założył Kazimierz W. podobne przytulisko robotnicze w Wieliczce<sup>1)</sup>, to musimy z tych faktów wyciągnąć wniosek, że fundacja bocheńska nie była tylko odosobnionym gestem, chwilowym odruchem wrażliwego serca, kaprysem, ale świadectwem wysokiego społecznego wyrobienia króla, i w konsekwencji musimy stwierdzić, że był nie tylko królem chłopów i żydów, jak chce tradycja, ale że mu przysługuje może zaszczytniejszy jeszcze, a w każdym razie znacznie więcej uzasadniony tytuł „króla miejskiego, robotniczego gminu“.

Szereg znakomitych żupników genueńczyków zamyka Gotfryd de Fattinante, który pod sam koniec rządów Kazimierza W. i później, za obu jego następców administrował salinami. Był to jeden z największych finansowych potentatów w ówczesnej Polsce, ruchliwy kupiec, którego interesy sięgały od Kolonji w Niemczech do Kołomyi i pewnie dalej jeszcze, aż do kolonij genueńskich nad morzem Czarnem, zarazem bankier, który Jagielle ogromnych sum pieniężnych dostarczał. Przedsiębiorczością, energją a niewątpliwie i uczciwością umiał sobie Gotfryd pozyskać zaufanie zarówno Kazimierza, jak obu jego następców, a rządy jego na stanowisku żupnika stanowią bodaj czy nie najświetniejszy okres w dziejach krakowskich żup. Produkcja soli i jej eksport, a w związku z tem dochody z obu kopalń wzrosły w tych czasach do swego maximum. Nic dziwnego, że także czynsz dzierżawny dosięgnął w r. 1368 kwoty 18.000 grzywien<sup>2)</sup>, jakiej nie osiągnął nigdy później. Z troską o rozwój żup, umiał Gotfryd, podobnie jak obaj jego poprzednicy łączyć szczerą troskę o podległych mu górników. Jeszcze na łożu śmierci († 1393) pamiętał o bocheńskich górnikach, którzy się przy pracy w kopalni nabawili kalectwa, i na rzecz szpitala św. Krzyża zapisuje testamentem czterech otroków, którzy dotąd w bocheńskiej kopalni pracowali na jego korzyść. Dwom zaś sługom swym, którzy w jego usługach, może także w kopalni, stracili wzrok, zapisuje 100 grzywien<sup>3)</sup>.

1) Górniczy szpital św. Ducha powstał w Wieliczce w r. 1363 v. Kod. Mpol. III s. 165—166.

2) Ordynacja żupna z r. 1368 § 38.

3) Kod. kat. krak. II s. 182—185.



4. Pomnik Kazimierza W. w Bochni w dniu 17 września 1933 r.



**O**rganizacja pracy w żupach, sposób administrowania niemi, warunki sprzedaży soli i jej ceny, przywileje bocheńskich i wielickich handlarzy soli i wogóle wszystkie zwyczaje żupne XIV w., ustaliły się ostatecznie w ciągu dwudziestu kilku lat, objętych działalnością Paulina Cavallo, Peterlina i Gotfryda de Fattinante. Co w tych zwyczajach żupnych pochodziło z czasów dawniejszych, a co było innowacją, wprowadzoną dopiero przez genueńczyków, tego oczywiście w szczegółach wykazać nie można, ale nie ulega wątpliwości, że jako doświadczeni kupcy zorganizowali przedewszystkiem handel solny, a niezawodnie także i do wewnętrznej administracji żup wprowadzili większy ład i porządek.

Ponieważ ich administracyjne metody przyczyniły się najwidoczniej do ówczesnego rozkwitu salin, przeto Kazimierz W., chcąc ten stan rzeczy utrwalić, polecił spisać zwyczaje, stosowane w administracji żupnej od czasów Peterlina (Porinusa)<sup>1)</sup>, i ułożyć je w Ordynację, która miała na przyszłość każdego żupnika i jego podwładnych ściśle obowiązywać. Poprostu postanowił nadać tym zwyczajom żupnym sankcję prawną. Odnośną Ordynację ułożono w r. 1368. Nie jest to ustawa wykończona we wszystkich szczegółach, raczej tylko jej szkic, i to nie nazbyt systematycznie ułożony. Jest tam wprawdzie mowa o wszystkich działach życia i gospodarki żupnej, ale wiele ważnych spraw właściwie tylko dotknięto. Trudno n. p. wyczytać z Ordynacji (§ 48—51), jaki był zakres praw i obowiązków podkomorzego odnośnie do żup i żupników, choć jego ingerencją w sprawy żupne była, jak skądinąd wiadomo, tak szeroka<sup>2)</sup>, że wymagała chyba bardziej precyzyjnego i dokładniejszego ujęcia. Bardzo niedokładnie są też przedstawione obowiązki bachmistrza, czyli

---

<sup>1)</sup> J. Ptaśnik wykazał, że wymieniany przez Boczkowskiego żupnik Porinus Albertus Gallicus, który już rzekomo za czasów Łokietka miał administrować salinami krakowskimi (cf. F. Boczkowski: *O Wieliczce* s. 49), to postać identyczna z Peterlinem Cavallo. cf. Ptaśnik: *Włoski Kraków* (Roczn. Krak. XIII s. 59 i n.) i *Kultura włoska* s. 27 i n.

<sup>2)</sup> Do podkomorzego należała kontrola nad konserwacją kopalni i nad wszelkimi innowacjami oraz kontrola nad bezpieczeństwem górników, pracujących w podziemiu. Wspólnie z żupnikiem sądził oficjalistów żupnych, rozstrzygał spory żupnika z postronnymi, bronił żupnika przed krzywdami. Stałym jego zastępcą przy żupie był podsędek, a najniższymi wykonawcami jego poleceń byli senjorowie poszczególnych górniczych grup, których też podkomorzy mianował.

technicznego kierownika kopalnianych robót. Poza tem stylizacja niektórych ustępów Ordynacji nie jest dość jasna, a o chaotyczności układu świadczy np. choćby to, że o obowiązku utrzymywania przez żupnika koni królewskich jest mowa dwukrotnie (§§ 17 i 18, 35 i 36), a oba odnośne ustępy prawie się pokrywają treścią. Dwukrotnie też mówi ustawa o ubogich, których żupa ma obowiązek utrzymywać (§§ 19 i 34). Ordynacja, jak się już powiedziało, nie była abstrakcyjną teorią, ale wiernem odbiciem tego wszystkiego, co praktyka żupników-genuieńczyków uznała za dobre i pożyteczne. Jedno tylko, w czem sobie dotychczasowi żupnicy nie umieli skutecznie radzić, to było to ciągłe nachodzenie żup przez szlachtę, a zwłaszcza dygnitarzy, pragnących zwiedzić podziemny kopalniany świat, o którego dziwach tylko fantastyczne wieści słyszeli. Niejeden królewski urzędnik rościł sobie przytem pretensję do jakiejś gościny w żupie, żądał paszy dla swoich koni i traktamentu dla siebie, a opór przeciwko tym wymuszeniom był tem trudniejszy, im wyższą władzę reprezentował gość i większemi względami króla się cieszył. Jednym z takich natrętów był królewski ulubieniec, Piotr Neorza, zrazu długoletni wojski krakowski, później kasztelan i wojewoda. Ten widocznie najmocniej dawał się we znaki żupnikom, kiedy aż skargę do króla przeciwko niemu wnieśli. Ordynacja opowiada naiwnie, że król poruszony skargą gniewał się na Neorzę więcej niż dwa miesiące i ledwie dał się przebłagać. Żeby zaś na przyszłość nie powtarzały się ze strony panów i urzędników królewskich podobne nadużycia, wysunął król na samo czoło Ordynacji (§ 1) surowy zakaz, że „żadnemu z panów, czy to będzie wielki, czy mały, kasztelan, czy starosta, nie wolno nawiedzać żup..... pod karą śmierci i konfiskaty dóbr“, gdyż tacy goście tylko przeszkadzają żupnikowi w pracy i skarb królewski na tem cierpi. Zwiedzać żupy może tylko ten, komu król wyjątkowo pozwolenia odnośnego udzieli. Równocześnie zabrania król żupnikom pod karą śmierci i konfiskaty dóbr przyjmować do stajen żupnych i karmić czyjeśkolwiek bądź konie oprócz królewskich (§ 2). Ta stanowczość zakazów i wysokość kar pośrednio wskazuje, jak trudną musiała być dla żupników walka z natręctwem nieproszonych gości.

Ordynacja przekazała nam najdawniejszą wiadomość o wydzierzawianiu żup solnych (§ 38), odnoszącą się prawdopodobnie do tego samego roku, w którym tę ustawę spisywano (r. 1368).

Oto czterej krakowscy bogacze, między którymi był także słynny a nawpół legendarny żyd Lewko, zgłaszali się kolejno do króla z gotowością wzięcia w dzierżawę żup. Każdy z nich oferował kwotę wyższą, niż jego poprzednik, i król z każdym z osobna nową umowę zawierał, przekreślając tem samem kontrakt, zawarty z poprzednim. W ten sposób, według świadectwa Ordynacji, w ciągu jednego tygodnia czterokrotnie zmieniali się żupnicy<sup>1)</sup>, a czynsz dzierżawny drogą tej osobliwej licytacji doszedł do olbrzymiej wysokości 18.000 grzywien. Tę też kwotę uważał Kazimierz za miarodajną przy wydzierżawianiu żup i na przyszłość. Wiadomość ta oczywiście nie świadczy bynajmniej, żeby to był wogóle pierwszy fakt wydzierżawiania żup, jak to przypuszcza Caro<sup>2)</sup>. Być może, że i poprzednio żupy wypuszczano już to drogą dzierżawy, już też przekazaniem „do rąk wiernych“, t. zn. że żupnik był z ramienia królewskiego tylko administratorem salin i ze swego wódarstwa ściśle rachunki królowi musiał składać.

Ordynacja z r. 1368 jest pomimo usterek w układzie i pewnych niedokładności w treści jedną z wielkich zasług Kazimierza W. jako prawodawcy. Zyskała ona zasłużoną sławę nie tylko dlatego, że była wogóle pierwszą u nas próbą zestawienia górniczych zwyczajów prawnych w całość, ale nadto, że odpowiadała potrzebom górnictwa owych czasów i utrzymywała dobry zarząd żup na przyszłość. O tem, że się jej trzymało ściśle przez dłuższy czas, świadczą teksty całego szeregu kontraktów dzierżawnych, zawieranych w ciągu w. XV z żupnikami<sup>3)</sup>.

Obraz stosunków żupnych, przedstawiony w Ordynacji, uzupełniają szczegóły, zawarte w niektórych kazimierzowskich przywilejach. Jednym z nich jest przywilej na bachmistrzostwo w Bochni, nadany w r. 1368 Janowi Gładyszowi h. Gryf, wzamian za dziedziczne dobra Gładysza, Brzeście<sup>4)</sup>. Był to człowiek, znany królowi od szeregu lat i zapewne wypróbowany w obrotności, kiedy już w r. 1358 występuje w aktach jako podrzędczy (*vice-procurator*), potem rzańca (*procurator*) sądecki. W wymienionym przywileju nadaje mu król 4 otroków w kopalni bocheńskiej,

1) Zdaje się, że Kazimierz W. żadnego z tych licytantów nie brał na serjo, bo już w r. 1369 występuje na stanowisku żupnika znowu Gotfryd de Fattinante i już prawie bez przerwy dzierży kopalnię aż do swej śmierci.

2) Caro, op. cit. II s. 350.

3) Liber formularum s. 77—82.

4) Kod. Mpol. III s. 215—216.

jako dziedziczny berkracht, a równocześnie przydziela mu, również dziedzicznie, urząd bachmistrza ze wszystkimi dochodami i pożytkami, jakie ten urząd niesie. Będzie mianowicie otrzymywał za swe czynności każdego tygodnia pół grzywny w bieżącej monecie polskiej, corocznie na Wielkanoc 12 łokci sukna brukselskiego, a na św. Marcina postaw sukna wartości 5 grzywien. Codziennie będzie otrzymywał z żupy paszę dla trzech koni. Pozwala mu król wreszcie lokować w kopalni specjalnych kopczy dla poszukiwania soli i daje mu władzę usuwania od pracy robotników leniwych (*male laborantes*) lub nieposłusznych.

Barkmistrzostwo w zasadzie dostawało się temu, kto otworzył nowy szyb, a temsamem rozszerzył kopalnię i przez to zwiększył dochody króla. Wybijanie szybu było jednak przedsięwzięciem ryzykownem, bo można było wkopać w ziemię znaczną fortunę i nie dokopać się niczego<sup>1)</sup>. Wyraźnie się też żupnicy w kontraktach dzierżawnych zastrzegali, że tylko bieżące naprawy i normalne inwestycje w kopalni własnym kosztem pokrywać będą, natomiast nadzwyczajne, do jakich należało n. p. bicie nowego szybu, nie będą już ich obowiązkiem. Jeżeli się natomiast zgłosił ktoś z ochotą wiercenia nowego szybu, król tę inicjatywę przyjmował chętnie, wydawał odnośny przywilej i z góry wyznaczał dla twórcy szybu nagrodę. Taki przywilej wydał n. p. w r. 1340 opatowi tynieckiemu, Bogusławowi, który postanowił szukać soli w Tuchowie koło Tarnowa<sup>2)</sup>. Niewiadomo, czy książdz opat jakieś kapitały i jakie wielkie w Tuchowie w ziemię wkopał, czy też mu może ktoś to przedsięwzięcie wyperswadował. Odpowiednio do włożonych kosztów, trudów i zasług, także wynagrodzenie szczęśliwego twórcy szybu było znaczne. Pierwszą jego nagrodą było to, że wierzchnią warstwę odkrytej soli na jeden sążeń w głąb bachmistrz na własną korzyść wybierał, a poza tem otrzymywał dziedzicznie wymieniony urząd wraz z wymienionymi wyżej dochodami. Bachmistrzostwo było źródłem dochodu tem cenniejszem, że było dziedziczne. Można je było sprzedać, zastawić, darować, przyczem wartość jego

---

1) Mik. Bochner wybił pod koniec w. XIV szyb Bochneris w Bochni, ale koszty, które na to wyłożył, były tak wielkie, że pociągnęły za sobą jego bankructwo, pomimo nagrody, jaka mu się dostała w udziale (Płaśnik: Studja I s. 66 i n.)

2) Kod. tyniecki (r. 1874) s. 76; cf. Kod. Mpol. III s. 10—11.



5. Kazimierzowski kościółek w Łapezycy.



dochodziła do 1000 i więcej grzywien<sup>1)</sup>. Tem się tłumaczy, że Gładysz ogromnej swojej posiadłości ziemskiej nie wahał się oddać królowi za ten urząd. Wiadomo, że właśnie na bachmistrzostwie, podobnie jak i na dzierżawie żup dorabiali się olbrzymich fortun i znaczenia w państwie Jordanowie, Bochnerowie-Wielopolscy, Morsztynowie, Bonerowie, a później Ociescy, Lubomirscy i i.

Początkowo było przy kopalni tylu bachmistrzów, ile było odrębnych szybów, otwierających dostęp do odrębnych kopalnianych jednostek<sup>2)</sup>. Tak n. p. Ordynacja z r. 1368 wymienia trzech bachmistrzów bocheńskich: Kutę, Buleję i Piotra Penaka: widocznie tyle szybów było w tym czasie w Bochni czynnych. Kiedy jednak zczasem podziemne gospodarstwa, rozszerzając się, zetknęły się z sobą i utworzyły jednolitą całość, wygasły odrębne dziedziczne bachmistrzostwa, zamieniane niezawodnie na uposażenie w gotówce lub soli, a kierownictwo techniczne całej kopalni obejmował jeden już tylko bachmistrz.



---

<sup>1)</sup> Star. prawa pol. pomn. II zap. 4099 i 2262; cf. J. Ptaśnik: Studja nad patrycjatem krak. II s. 7.

<sup>2)</sup> Ptaśnik: Studja S. 7.

### III

**K**azimierz W. nie poprzestał na uporządkowaniu wewnętrznej gospodarki w żupach krakowskich, ale i handel solą starał się uporządkować, rozwinąć i jak najszerszy zbył dla niej znaleźć. Chodziło więc w pierwszym rządzie o to, ażeby wyprzeć z kraju sól obcą, zwłaszcza luneburską, dostarczaną przez kupców pruskich, która w tym czasie zalewała jeszcze północne kresy państwa<sup>1)</sup>, i zastąpić ją solą polską. Równocześnie starał się król pozyskać dla polskiej soli rynki zbytu także i poza granicami kraju.

Wywołanie z kraju towaru, przywożonego z obcych stron, kiedy się miało poddostatkiem soli własnej, wydawało się rzeczą łatwą, a jednak odnośne zabiegi, podjęte przez Kazimierza W., dopiero za jego następców pełny uwieńczył skutek. Wymieniona już tylekrotnie ustawa żupna z r. 1368 stwierdza, że handel soli był przywilejem mieszczan wielickich, bocheńskich i krakowskich. Wieliczanie mają ją sprzedawać w składach krakowskich, natomiast bocheńskim kupcom, oprócz ograniczonego dowozu soli do Krakowa, przysługuje prawo wywożenia jej na Mazowsze, na Ruś, Śląsk, na Litwę i w stronę Lublina<sup>2)</sup>. Wschodnia granica zasięgu bocheńskiej soli nie została tu wyraźnie zaznaczona, a stało się to może dlatego, że Ruś i przyległa do niej Lubelszczyzna zaczynała już wtedy korzystać z warzelnii ruskich i dopiero konkurencyjna walka kupców polskich i ruskich i kalkulacje dowozowe mogły w przyszłości tę granicę ustalić. Opanowanie całej Lubelszczyzny okazało się też niemożliwe dla soli polskiej. Najdalszym punktem, do którego w w. XV solarze bocheńscy docierali był Lublin. O ile chodzi o bardziej na północ wysunięte części

1) Kutrzeba: Handel Krakowa s. 131, 132.

2) Łabęcki: Górnictwo w Polsce t. II S. 113.

państwa, to zasięg soli polskiej w czasach Kazimierza W. objął tylko Łęczycę i Sieradz<sup>1)</sup>. Natomiast udało się Kazimierzowi otworzyć dla niej drogę na Litwę i na Węgry. Jakie rozmiary przybrał wywóz na Litwę i na jakich się traktatach handlowych opierał, niewiadomo, kodeksy dyplomatyczne nie mówią o tem nic. Daleko wyraźniej przedstawia się w świetle dokumentów sprawa eksportu soli polskiej na Węgry. Odnośną polityką handlową Kazimierz W. kierował osobiście, a głównym rezultatem jego zabiegów był układ, zawarty z Ludwikiem węgierskim na zjeździe w Budzie w r. 1354<sup>2)</sup>, dopuszczający polską sól aż po miasta Saros i Liptow. Była to zdobycz pierwszorzędna, a niezwykłość sukcesu tem większa, że Węgrom nie brakowało soli własnej. Od tej chwili począwszy przez przeszło 60 lat szła polska sól swobodnie na całe północne Węgry i przekraczała nawet naznaczoną sobie pierwotnie granicę. Próby wyparcia jej stamtąd zaczęły się już wprawdzie w roku 1403, i powtarzały się co jakiś czas, ale były daremne<sup>3)</sup>. Sól polska, zwłaszcza bocheńska panuje tam w dalszym ciągu, jak tego dowodzą rachunki bardjowskie z lat 1436, 1437, 1439<sup>4)</sup>, a rozszerzając z biegiem lat coraz bardziej swój zasięg, dociera z końcem XV w. niemal do wszystkich zakątków Węgier<sup>5)</sup>.

W czyich rękach był ten wywóz? Źródła wymieniają kupców krakowskich oraz sądeckich<sup>6)</sup>: o bochnianach nic nie słycać. A jednak jeżeli się zważy, że komunikacja między Bochnią a Węgrami była stale żywa, że do Bochni napływały wciąż wielkie transporty żelaza, które tu kupcy węgierscy wymieniali na sól, że wreszcie wogóle cały ruch handlowy węgiersko-polski przechodził przez Bochnię, ułatwiając tem samem bochnianom stosunki z węgierskim kupieckim światem, trudno wprost pomyśleć, ażeby i oni nie mieli w tym wielkim wywozowym handlu solnym uczestniczyć. Kto wie, czy takim eksporterem nie był obywatel bocheński Tomasz, syn Nety, o którym wiemy z testamentu Got-

1) St. Kutrzeba: *Handel Krakowa* s. 133.

2) (Dogiel: *Cod. d. reg. Pol. S. 37*) Kutrzeba op. cit. s. 60; J. Dąbrowski: *Kraków a Węgry* s. 193.

3) Kutrzeba op. cit. s. 60; Dąbrowski op. cit. s. 220.

4) (Fejerpataky) *Handel Krakowa* s. 60—61.

5) (Mon. Hung. hist. dipl. I Nr. 7) Dąbrowski: op. cit. s. 220.

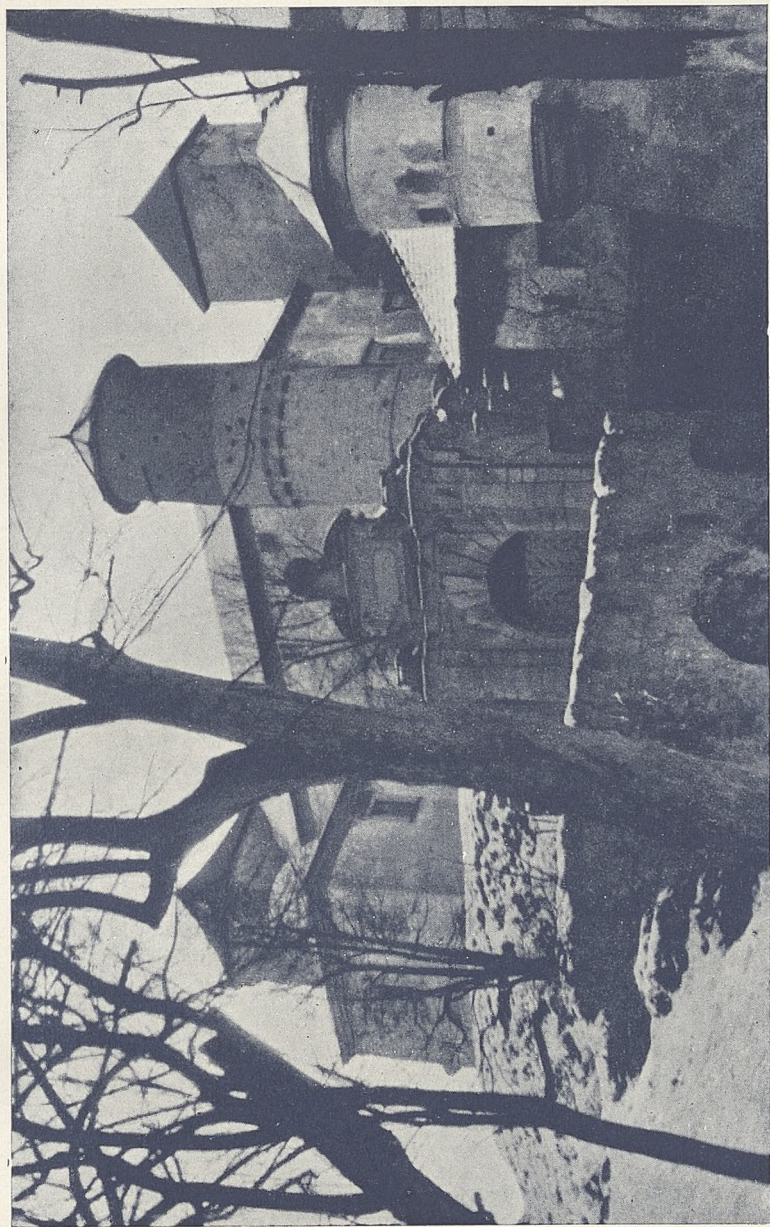
6) Kutrzeba op. cit. S. 138.

frйда de Fattinante, że z remanentów po tym żupniku<sup>1)</sup> nabył 400 bałwanów soli za 500 grzywien<sup>2)</sup>, oczywiście na wywóz. I takich grosistów w Bochni musiało być chyba więcej, choć nazwisk ich w wykazach wielkich kupców owych czasów prawie się nie spotyka. Tłumaczę sobie to w ten sposób, że bochnianie wchodzili ze swojemi udziałami w spółki handlowe, organizowane przez bogatych kupców obcych, i tym obcym firmom podporządkowywali się bezimiennie, poprzestając na udziale w zyskach. Firmodawcami mogli być w tym wypadku jużto geneueńcy, jużto sądeczanie, wreszcie jacyś kupcy krakowscy, którym ze względu na większą swobodę ruchów wygodniej było prowadzić odnośne interesy wprost z Bochni niż z Krakowa. Ta bezimienność udziału bochnian w wielkim handlu z Węgrami wprawdzie niezbyt dodatnio świadczy o ich kupieckiej ambicji, w każdym razie jednak nie można z braku ich nazwisk w źródłach historycznych wyciągać wniosku, że wielki handel Bochni w czasach kazimierzowskich jest tylko jakąś legendą. Że on istniał i że nawet silnie zagrażał interesom kupiectwa krakowskiego, o tem świadczą skargi krakowian powtarzane kilkakrotnie, o których niżej będzie mowa.

Bochnian pociągał na drogę handlowych interesów choćby przykład geneueńczyków, którzy na handlu dorabiali się nawet w ich oczach olbrzymich fortun. W rękach tych przedsiębiorczych Włochów było przedewszystkiem całe pośrednictwo w wielkim handlu flandryjsko-lewantyńskim. Całe karawany ich wozów przeciągały z portów nadatlantycznych poprzez Polskę na wschód i ze wschodu na zachód, dostarczając kupcom wzdłuż tego szlaku cennych produktów wszystkich zakątków świata. Onito przedewszystkiem przewozili do Polski i krajów wschodnich wyroby sukienne z Flandrji, z Anglji i Niemiec (z Kolonji), które znajdowały tu popyt znaczny. Zwłaszcza wykwinne czarne sukno tyńskie (Thuin) oraz kolorowe sukna mechlińskie (Mecheln), herentalskie, dyllermondzkie (Dendermonde), brukselskie, ypern-

1) Ordynacja żupna z r. 1368; (Helcel I s. 220) Kutrzeba: Handel Krakowa s. 65. Także w następnych wiekach wymieniano chętnie w żupie bocheńskiej sól na żelazo węgierskie, płacąc za cetnar żelaza  $3\frac{1}{2}$  cetnara soli drobnej, a za cetnar stali 4 cetnary soli (Protokół komisji żupnej z r. 1518).

2) Kod. kat. krak. II s. 184. Ten Tomasz handlował, czem się dało. Tak np. w r. 1380 dostarcza do Niepołomic na potrzeby królewskiego dworu większych ilości owsa. v. Rachunki dworu kr. Jagiełły i kr. Jadwigi s. 25.



6. Zamek w Wiśnioczu.



skie<sup>1)</sup> zachwycaly oczy ludzkie polyskiem i miękkoscia wyrobu i konkurowaly zwyciesko z twardem sukmem krajowem i niewiele delikatniejszym slaskiem. Pewne ilosci tego flandryjskiego towaru musialy sie zatrzymywac takze w Bochni. Zdaje sie o tem swiadczy chocby ten drobny szczegol, zanotowany w Ordynacji zupnej z r. 1368, ze zupnik ma obowiazek obdarowywac sukmem niektorych królewskich donatarjuszów i dygnitarzy. Tak np. pleban z Koła ma otrzymywac corocznie 8 lokci wskiego sukna tyńskiego (*octo ulnas panni brevis de Thuna*), a podkomorzy krakowski, wprowadzajacy nowego zupnika w urzad, ma od niego otrzymywac jeden postaw kolorowego sukna mechlińskiego. Gdyby zupnik zapasu sukna nie posiadal, ma dac podkomorzemu 10 grzywien. Poniewaz w kontraktach dzierzawy zup z pierwszej polowy XV w. juz o tym datku w naturze niema mowy, mozna wnosić, ze odnosne ządanie stawiano tylko genueńczykom, ktorym jako handlarzom sukna, latwo bylo wywiaczac sie z królewskiego polecenia.

Z kolonij swych na morzem Czarnem, mianowicie z Kaffy i Tany<sup>2)</sup>, przywozili genueńczycy bezcenny towar wschodni, ktorzy przez Polske szedl dalej na zachod glownie do Flandrii. Byly to przedewszystkiem tkaniny, jak atlasy, kamchy, tafty, wzorzyste jedwabie, lekkie jak pajeczyna, perskie tkaniny, mieniacze sie od zlota i teczowych barw, dywany i kilimy, cienkie tatarskie plótna, a dalej przecudna inkrustowana broń i drogie kamienie, wreszcie t. zw. korzenie, jak imbir, muskatołowa galka, gozdziiki, pieprz oraz kamfora i alun<sup>3)</sup>. Artykuly te, znane juz dobrze na wszystkich zachodnio-europejskich rynkach, w Polsce byly nowoscia, ale jak kazda nowosc, znajdowaly takze tu chętnych nabywców. Znaczne ilosci towaru zakupywali oczywiscie kupcy krakowscy i dopiero za ich posrednictwem rozchodzily sie te cenne tkaniny i korzenie po calym kraju, ale rzecz prosta, ze genueńczycy nie krepowali sie bynajmniej krakowskim prawem skladu, i o ile po drodze miedzy Lwowem a Krakowem znalezli nabywców gotowych zaplacic ządana cene, bez skrupulów odstepowali im kazda ilosc. Ich kupieckie karawany ciagnęly juzto starym san-

<sup>1)</sup> Kutrzeba i Ptasnik: Dzieje handlu i kupiectwa krak. s. 6.

<sup>2)</sup> Kutrzeba: Handel Polski ze Wschodem (Przeglad polski t. 148 s. 195). Kaffa powstala po r. 1266 jako osada genuenska na Krymie. Tana byla to wloska nazwa tatarskiego miasta Azak (dzis Azow).

<sup>3)</sup> Ibidem s. 194—197, 206—207, 469—474, 518.

domierskim traktem, jużto drogą „ropczycką“, która w tym czasie, może właśnie dzięki genueńczykom, coraz większego nabierała znaczenia<sup>1)</sup>. W ten sposób towar wschodni dochodził także do Bochni, a genueńczycy wyładowywali tu swoje wozy tem chętniej, że z Bochni jako węzłowej stacji dróg mogli swój towar bez kontroli i przeszkód ze strony kupiectwa krakowskiego wieźć drogą „piotrkowską“ w stronę Torunia i Prus, oraz przez Sącz na Węgry. Bochnianie mieli zatem sposobność nie tylko nacieszyć oczy zawartością wiezionych skrzyń, ale i zaopatrzyć się w towar. Że z takich okazji korzystali, o tem zdaje się świadczyć fakt, że w domach mieszczkańskich w Bochni pełno było przedmiotów wschodniego pochodzenia. Dowiadujemy się o tem wprawdzie dopiero z najstarszej zachowanej księgi miejskiej, pochodzącej z końca XV w., ale nic nie przeszkadza, żebyśmy odnośne dane przenieśli także już w kazimierzowskie czasy.

Genueńczycy byliby niewątpliwie niepodzielnie zagarnęli w swoje ręce cały flandryjsko-lewantyński handel, gdyby swobody handlowej ich, jak zresztą wszystkich kupców obcych, nie krępowała polityka handlowa Kazimierza W., którego starania, jak już wiemy, szły w tym kierunku, ażeby korzyści, płynące z handlu transito, wyrwać o ile możności z rąk obcych, a zapewnić je poddanym polskim. Instytucją prawną, przy pomocy której można było cel ten osiągnąć, było ustanowienie prawa składu w Krakowie. Polegało ono na tem, że każdy kupiec obcy musiał towary swoje wieźć przez Kraków i tutaj je złożyć na pewien przepisany okres czasu, ażeby kupcy krakowscy mogli się dostatecznie zaopatrzyć w towar, i dopiero to, czego krakowianie nie wykupili, mogło być wywiezione dalej. Wszystkim kupcom obcym było wzbronione nabywanie w Krakowie tego towaru z pierwszej ręki. Utrwaliła się zasada, że w Krakowie handel obcych z obcymi jest wogóle wykluczony, a krakowianie mogą nawet cały zapas przywiezionych towarów wykupić. Tej zasady pilnie i zazdrośnie przestrzegali krakowscy kupcy. I rzecz prosta, że dzięki swojemu prawu składu mogliby zmonopolizować handel w swem ręku i wogóle wykluczyć od jakiegokolwiek uczestniczenia w nim nie tylko kupców obcych, ale i polskich z miast innych, gdyby nie pewne luki w ustawodawstwie handlowem, a zwłaszcza sprzeczności, zachodzące między przywilejami, nadawanymi poszcze-

---

1) A. Szumański: Drogi w Małopolsce średniowiecznej Rkp. s. 62—63.

gólnym miastom, jak n. p. Toruniowi, Sandomierzowi, Sączowi i Bochni, a krakowskiem prawem składu. Te sprzeczności umieli kupcy wymienionych miast na swoją korzyść wyzyskać. Żeby się zorientować, co to były za luki, co za sprzeczności w przywilejach, a tem samem zdać sobie sprawę z warunków, wśród jakich się rozwijał handel Bochni, musimy sobie przypomnieć choć kilka najważniejszych dat. Punktem wyjścia niech będzie dla nas rok 1306<sup>1)</sup>, w którym Kraków poraz pierwszy uzyskał przywilejem Władysława Łokietka prawo składu. Chodziło tu w pierwszym rzędzie o węgierską miedź, która w tym czasie stanowiła najważniejszy artykuł polskiego przewozowego handlu. Transporty miedzi, które szły z Węgier przez Kraków do Prus i Flandrji, były olbrzymie<sup>2)</sup> i Krakowianie ciągnęli tu znaczne ze swojego pośrednictwa zyski, któremi się nie chcieli dzielić z nikim. Kiedy jednak w r. 1311 wybuchnął bunt wójta Alberta, Krakowianie stracili królewskie łaski, a krakowski przywilej składu, choć może formalnie nie został zniesiony, to jednak w praktyce stracił obowiązującą moc<sup>3)</sup>, i odłąd przez lat przeszło 40 nie liczyli się z nim kupcy innych miast polskich i towary swoje wozili z pominięciem Krakowa, dokądkolwiek chcieli. Starania krakowian u Łokietka i jego następcy, żeby prawo składu odzyskać, długo były bezowocne. Odzyskali je dopiero w r. 1354<sup>4)</sup>. Był to niezawodnie znaczny sukces, bądź co bądź nie dawał jeszcze Krakowowi bezwzględnego monopolu na przewozowy handel, gdyż kupcy z Torunia i Sącza oraz Węgrzy mieli dawniejsze przywileje, pozwalające im przewozić swoje towary z Węgier do Prus i z Prus do Węgier z pominięciem Krakowa już to szlakiem wodnym przez Dunajec i Wisłę, już to drogą lądową przez Sącz, Czchów, Wiśnicz i Bochnię, i stąd dalej wprost przez Wisłę na północ. Jak długo te przywileje poszczególnych miast były w mocy, wartość krakowskiego prawa składu była połowiczna. Zaczynają się tedy krakowianie starać, ażeby król wogóle zakazał kupcom korzystania z dróg, pomijających stolicę państwa. Z chwilą kiedy ten zakaz (w r. 1358) uzyskali<sup>5)</sup>,

1) Kod. m. Krak. I s. 8.

2) Kutrzeba i Płaśnik: Dzieje handlu i kupiectwa krak. S. 5.

3) cf. Dąbrowski: Kraków a Węgry s. 191 i 192; Handel Krakowa s. 29.

4) Kod. m. Krak. I s. 33—34.

5) Kod. m. Krak. I s. 38.

stali się znowu prawnie posiadaczami monopolu na wielki handel węgierski.

Tak wyglądało tło, na którym się rozwijał handel Bochni. Bochnianie, prócz przywileju, zwalniającego ich od wszelkich myt na całym obszarze państwa, nadanego im jeszcze przez Bolesława Wstydliwego w r. 1253<sup>1)</sup>, a potem zatwierdzanego kolejno przez Leszka Czarnego, Łokietka, Jadwigę Łokietkową i Kazimierza W. (r. 1337)<sup>2)</sup>, żadnych innych specjalnych handlowych przywilejów nie posiadali, mogli jednak w handlu z Węgrami korzystać z ogólnych przywilejów, nadanych kupcom polskim przez Ludwika Węgierskiego<sup>3)</sup>, a na innych rynkach wykorzystywać te luki i sprzeczności w ustawodawstwie handlowym, o których wyżej była mowa, przede wszystkim zaś długotrwałą martwość krakowskiego prawa składu. Okolicznością, sprzyjającą rozwojowi bocheńskiego handlu, było doskonałe położenie miasta na rozdrożu kilku handlowych dróg. Jeżeli się do tego doda, że dzięki zainteresowaniu się Kazimierza W. sprawami żupy i ciągłym jego przyjazdom bochnianie mieli możliwość zbliżania się do króla i zaskarbiania sobie jego życzliwości, i istotnie pozyskać ją umieli, to wszystko to stwarzało warunki, umożliwiające Bochni rozwinięcie wielkiego samodzielnego handlu pomimo ewentualnych przeszkód i utrudnień ze strony kupiectwa krakowskiego. Bochnianie warunki sprzyjające im wyzyskali i starali się ująć w swoje ręce przede wszystkim handel towarami, przywożenymi z Węgier. Chodziło tu w pierwszym rzędzie o miedź i żelazo, ale oczywiście w grę tu wchodziły także inne artykuły jak n. p. oliwa i wino<sup>4)</sup>. Te towary kupcy bocheńscy magazynowali w swoich składach i nie dopuszczając ich do Krakowa, wywozili je sami drogą piotrkowską w stronę Prus. Działo się to wtedy, kiedy już na mocy przywileju krakowian

1) v. Przywilej lokacyjny kod. m. pol. I s. 87—91.

2) Kod. mpol. II s. 251—252; *ibid.* III s. 22—23.

3) Wspomniany już przywilej z r. 1354, zezwalający na dowóz soli polskiej do północnych Węgier aż po Saros i Liptow, oraz przywilej z r. 1368, otwierający wszystkim kupcom polskim drogę do Koszyc i dalej w głąb Węgier (Kod. m. Krak. I s. 47).

4) Najstarszy przywilej bocheński, wymieniający wino, pochodzi wprawdzie dopiero z r. 1396 (H. Machnicki: *Z przeszłości m. Bochni* s. 20—21), ale oczywiście można śmiało przenieść zawartą w nim wiadomość o piwie, winie i miodzie o trzy dziesiątki lat wstecz.

z r. 1358 wszystkie drogi pomijające Kraków były dla kupców oficjalnie zamknięte. Nie pomogły nic skargi kupców krakowskich, wnoszone przed króla<sup>1)</sup>, piętnujące nadużycia bochnian. Skargi pozostały bez odpowiedzi, a bochnianie bezkonkurencyjnie i bez żadnych przeszkód uprawiali węgierski handel aż do śmierci Kazimierza W. i dopiero Ludwik Węgierski, odwdzięczając się krakowianom za ich przychylność dla królewskich córek, wysłuchał ich ponowionych skarg i zabronił kupcom bocheńskim w r. 1375<sup>2)</sup> raz na zawsze wywożenia towarów węgierskich w stronę Torunia drogami innymi jak tylko przez Kraków. Wobec konieczności poddania się w Krakowie surowemu prawu składu, wszystkie marzenia bochnian o samodzielnym wielkim handlu musiały zgasnąć. Nie było już celu żadnego w gromadzeniu w Bochni większych zapasów towarów węgierskich, zwłaszcza miedzi, o którą w tej kupieckiej wojnie chodziło w pierwszym rzędzie, bo nie było możliwości tej miedzi korzystnie odprzedać dalej. Handel węgierskimi towarami ograniczył się odtąd w Bochni do zaspakajania miejscowych potrzeb, a te potrzeby nie mogły być oczywiście zbyt wielkie. Tylko żelaza węgierskiego, którego dużo zużywała na swoje potrzeby żupa, napływały do Bochni stale ilości wielkie. Kupcom węgierskim, przywożącym ten towar, płacono w żupie za czasów Kazimierza W. za cetnar po 7 skojców<sup>3)</sup>, albo też nabywano żelazo wzamian za sól<sup>4)</sup>.

Po r. 1375 mogli bochnianie uczestniczyć w wielkim handlu już tylko jako kupcy, wywożący sól. Czy z tej możliwości korzystali i w jakiej mierze, niewiadomo. Są dane, że bogatsze i ambitniejsze jednostki z pomiędzy bocheńskiego mieszczaństwa coraz chętniej przesiedlały się do Krakowa, gdzie miały większą możliwość rozwijania swojej energii. Usuwały się z Bochni kapitały, a na wszystkich drogach i cłach czuwali z ramienia kupiectwa krakowskiego ludzie, pilnujący, by ktoś nie próbował wywozić towarów drogami zakazanymi, — i w ten sposób handel Bochni

1) Najst. księgi i rachunki m. Krakowa II s. 25.

2) Kod. m. Krak. I s. 65; cf. Dąbrowski: Elżbieta Łokietkówna Rozpr. Ak. Um. S. II t. 32 s. 406.

3) Ordynacja żupna z r. 1368.

4) (Helcel I) Kutrzeba: Handel Krakowa s. 65. Także w następnych wiekach wymieniała bocheńska żupa chętnie sól na żelazo, przyczem według Komisji żupnej z r. 1518 płacono za cetnar żelaza 3 $\frac{1}{2}$  cetnara soli drobnej, a za cetnar stali 4 cetnary soli.

zwolna zamierał. Natomiast drobniejsi bocheńscy kupcy w dalszym ciągu, jak dawniej, ciągnęli umiarkowane zyski z t. zw. prasolstwa, czyli drobnej sprzedaży soli, którą na mocy kazimierzowskiej Ordynacji, jak się wyżej powiedziało, rozwozili już to w wieloletniarowych bałwanach, już to w beczkach w różne strony kraju. Prasolstwo miało być też przez dłuższy czas dźwignią względnego dobrobytu bocheńskich mieszczan.

Jakkolwiek prasołowie mieli w zasadzie prawo rozwożenia soli do wszystkich miast państwa, było jednak zgóry do przewidzenia, że organizacja tego rozwoju nie będzie dostateczna, i dlatego Kazimierz W. otworzył wielkie składy soli w Krakowie i Oświęcimiu, gdzie się mogli zaopatrywać w potrzebne zapasy towaru zarówno wielcy kupcy, wywożący sól poza granice kraju, jak i handlarze z tych prowincjonalnych miast, do których prasołowie albo zupełnie jej nie dowozili, albo też dowozili ją w ilościach niedostatecznych. W wymienionych składach zaopatrywali się w sól także prasołowie krakowscy i oświęcimscy, natomiast bocheńscy i wieliccy nabywali sól w żupie. Z Krakowa, gdzie bocheńscy solarze mieli także początkowo swoje kramy, wycofali się wnet, nie mogąc wytrzymać konkurencji z solarzami krakowskimi i wielickimi, natomiast otworem stały dla nich drogi handlowe na północ i wschód Polski aż po Lublin.

Prasołowie bocheńscy dostarczali soli oczywiście także i miejscowym konsumentom. Ich kramy i budy (*insfitae seu gasae salinariae*) stały na rynku zwartym szeregiem, ścianami do siebie przyparte. W nich sprzedawano sól w okruchach, oraz sól drobno tłuczoną czyli t. zw. cembrówkę (*sal minutum*), którą mierzono na miarki. Ustalił się przytem w Bochni pogląd, że mężczyźni nie wypada handlować solą drobną, to też sprzedażą cembrówki zajmowały się prawie wyłącznie kobiety.

Prasolstwo bocheńskie prosperowało dobrze mniej więcej do połowy XV w., odtąd zaczyna się jego upadek, którego najwyraźniejszą przyczyną było powstanie całego szeregu składów solnych w różnych punktach państwa, oraz nadanie prawa na prasolstwo obywatelom kilku innych miast. Już w drugiej połowie XV w. było tych prasolów tak dużo, że np. w Radomiu zorganizowali się w samodzielny cech solarzy. Dotkliwy cios zadał prasolstwu przywilej, nadany szlachcie w 1454 r., mocą którego każdy szlachcic mógł się z pominięciem prasolów zaopatrywać w sól wprost w żupie, przyczem otrzymywał ją po cenie nieco

niższej, niż u prasołów. Największe jednak straty przynosił prasołom pokątny handel solą, prowadzony przez górników i ich żony. Sól ta pochodziła z górniczych deputatów solnych, a niewątpliwie także z kradzieży. Ponieważ ten pokątny handel przynosił straty także skarbowi, usiłowano mu już w w. XV przeciwdziałać przez zmniejszenie deputatów i zaostrenie kontroli nad wychodzącymi z kopalni górnikami. Robotników poddawał rewizji hutman, obowiązkiem zaś komornika żupnego (*Camerarius*) było śledzenie pokątnego handlu w mieście i konfiskowanie podejrzanego towaru<sup>1)</sup>. Nie pomogły nic powtarzane co jakiś czas zastrzeżenia, że sól wolno sprzedawać tylko w kramach, nie pomogły represje, pokątny handel solą trwał w Bochni nieprzerwanie aż do końca istnienia dawnej Rzeczypospolitej.

Do takich drobnych form zaczynał się ograniczać zewnętrzny handel Bochni już z końcem XIV w. Ruch przejezdnych pozostał wprawdzie wciąż znaczny: we wszystkich zajazdach pełno obcych kupców, zmieszany gwar różnych języków obcych wypełniał miejskie szynki, wszędzie pełno wozów, czekających na ładunek soli, ale mimo tego ożywionego ruchu zyski handlowe wymykały się coraz bardziej z rąk bochnian.



---

1) Ordynacja żupna § 39.

#### IV

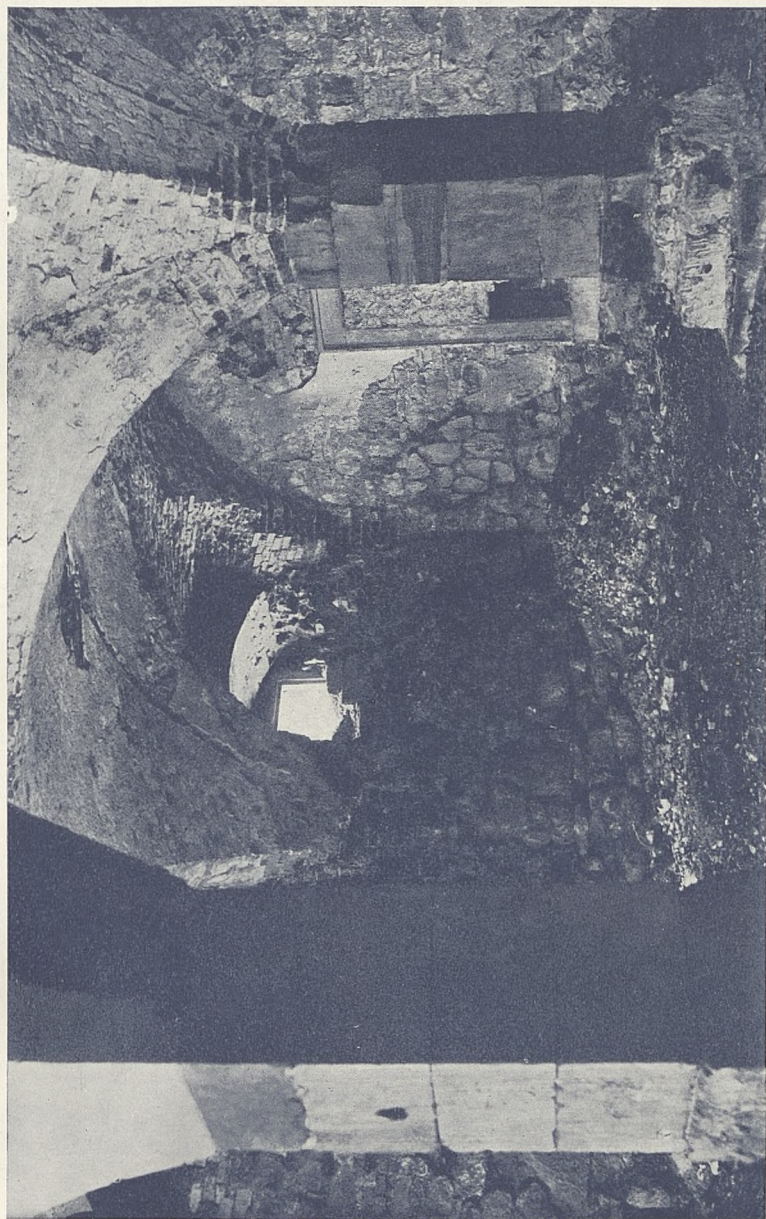
**M**ówiąc o handlu, podkreślaliśmy kilkakrotnie, że Bochnia powodzenie swoje zawdzięczała w znacznej mierze korzystnemu położeniu w węzle najważniejszych handlowych dróg. Czas nam się przypatrzeć, jak ten węzeł dróg wyglądał.

Ze wszystkich traktów, które w średnich wiekach łączyły królestwo węgierskie z Polską, najważniejszą i najstarszą była droga, idąca przez Nowy Sącz, Czchów, Lipnicę i Wiśnicz do Bochni, a stąd dalej przez wzgórze łapczyckie i Chełm w stronę Krakowa. W czasach kazimierzowskich i przez cały XV w. była to główna arterja, łącząca oba państwa. Tą drogą przeciągały niejednokrotnie w stronę Sącza i Węgier królewskie orszaki Kazimierza W., Elżbiety, Ludwika Węgierskiego i Jadwigi, a w XV w. wyprawy wojenne Warneńczyka, Świętego Kazimierza i Jana Olbrachta<sup>1)</sup>. Tędy ciągnęły przez kilka wieków niezliczone wozy z węgierską miedzią, żelazem i winem, a w odwrotnym kierunku wozy z bocheńską solą i olkuskim ołowiem. Ruch tutaj musiał panować stale wielki, a w przydrożnych karczmach ciągle zwady i bijatyki o miejsce na nocleg i o pomieszczenie dla wozów i koni.

Nic dziwnego, że traktu tak ważnego broniły już w zamierzłych czasach liczne grodziska i gródki, a później w czasach już historycznych, zamki i zameczki, których wzdłuż całej tej drogi od Węgier po Bochnię naliczono z górą trzydzieści. Z zameczków tych ledwie tu i ówdzie pozostały tylko szczyby, a i sam trakt zatarł się na wielu odcinkach tak bardzo, że byłoby wprost niemożliwe bieg jego w całości zrekonstruować. Tu i ówdzie zmieniał się w drogę polną lub nawet ledwie widoczną

---

<sup>1)</sup> Adam Szumański: Drogi w Małopolsce średniowiecznej 1933 Rkp. s. 36.



7. Sala w „Kmitówce” w zamku wiśnickim.



ścieżkę, gubiącą się raz po raz wśród łąk, zbożowych pól i lasów. Tu i ówdzie przerwa jest taka znaczna, że już tylko z trudem wielkim w odległości milowej można dalszy bieg traktu odnaleźć w jakimś kawałku drogi polnej, albo w jakiejś wąskiej i wydłużonej łączce, wgniecionej w teren na kilka i kilkanaście stóp. Zachowane jeszcze gdzieś niegdzie ślady kolein świadczą, że tędy niegdyś ciągnęły sznury wozów. Może najwyraźniej zachowały się resztki węgierskiej drogi tuż koło Bochni. Widać jeszcze dziś na terenie sąsiedniego Kurowa długi zielony wygon, na którym okoliczni gospodarze wypasają swoje krowy, — to dawny trakt. Przez wygon idzie dziś droga gminna, a równoległe do niej snują się pasma kolein, wprowadzicie już wygładzone, wydeptane i zarośnięte murawą, ale jeszcze widoczne. Czasami idą tuż koło siebie, czasem się rozchodzą na kilka i kilkanaście stóp; widać tu jak woźnice z kolein wypełnionych błotem wyprowadzali swoje wozy na teren suchszy i w ten sposób rozszerzali trakt ponad miarę. Dość wspomnieć, że na odcinku kurowskim droga rozszerzyła się do jakich trzydziestu i czterdziestu metrów. W Kurowie koło prastarej „Zbójeckiej“ karczmy skręcał się trakt ku zachodowi i południowemu stokami Uzborni docierał do karczmy, zwanej Zerwaniec (dziś Czerwieniec). Dalej mamy jego ślad w kawałku wąskiej wgłębionej łąki, długiej na kilkadziesiąt metrów, która przy pierwszych kolanowskich domach przechodzi w drogę gminną; ta droga przecina ukośnie dzisiejszy gościniec i pnie się łagodnie na łapczyckie wzgórze. Widać tam jeszcze dziś, jak koła ciężkich wozów wcinają się koleinami wgłąb gliniastego gruntu i ponakrawywały go niby rzepę, tworząc sztuczne wąwozy, pełne błota i kiśniejących bajor. Poza Łapczycę przeciskał się węgierski trakt przez posiadłości bożogrobców: Moszczenicę, Chełm i już za Rabą leżące Targowisko. U stóp chełmskiego grodziska na Rabie był most<sup>1)</sup>, zbudowany przez bożogrobców, którzy też od każdego przejeżdżającego wozu ściągali opłatę mostowego (*Theloneum pontale*). Ostatnimi etapami drogi były Staniątki, Śledziejowice, Bieżanów, Płaszów, Kazimierz. Przez wielki most na Wiśle<sup>2)</sup> przedostawali się podróżni do Krakowa.

1) Najdawniejsza wzmianka o tym moście mieści się w przywileju z r. 1351. (Kod. mpol. II s. 277). Szumański op. cit. s. 95 twierdzi, że istniał już w w. XIII.

2) Istniał w r. 1363 (Kod. mpol. I s. 271).

Już wyżej się powiedziało, że traktem węgierskim przeciągały od najdawniejszych czasów niejednokrotnie książęce i królewskie orszaki. Dobrze ta droga znana była też Kazimierzowi W. i wzdłuż niej wiele się po nim dochowało pamiątek. Jedną z nich jest kościółek pod tytułem Narodzenia Najśw. Marj, Panny, wzniesiony koło połowy XIV w. na miejscu dawnej drewnianej świątynki na łapczyckiem wzgórzu koło Bochni. Już Długosz zwrócił uwagę na niezwykle piękno tej budowli<sup>1)</sup>, a dzisiejsza analiza estetyczna stwierdziła, że w dawnym swym kształcie było to arcydzieło gotyckiej architektury, miniaturowa „katedra“, na której wzniesienie król nie szczędził starań ani kosztów<sup>2)</sup>. Co go skłoniło, żeby właśnie tu, w posiadłości bogatych opatów tynieckich, budować taki kościół? Kazimierz W. nie żałował wprawdzie nigdy trudów ni ofiar, kiedy chodziło o ufundowanie nowych kościołów i parafij, ale było wbrew jego zwyczajowi, żeby budować tam, gdzie jego pomoc była zbędna. Więc jakże wytłumaczyć powstanie świątyni łapczyckiej? Była to chyba ofiara, mająca przebłagać Pana Boga za jakiś grzech, a zarazem może i akt wdzięczności, spełniony wobec opata za jakieś oddane królowi usługi. I zaszuwa się przypuszczenie, że wzniesienie kościółka łapczyckiego może być w związku z owym nieważnym ślubem, zawartym przez króla z Rokiczaną<sup>3)</sup>, kiedy jego prawowita małżonka jeszcze żyła. Według Długosza ślub ten pobłogostawił tyniecki opat<sup>4)</sup>. A że taki nieprawny obrzęd nie mógł się odbyć *coram publico* na oczach biskupa, więc któż wie, czy się nie odbył właśnie w ustronnym, drewnianym kościółku opatów tynieckich w Łapczycy.

\*

\*

\*

Trakt węgierski miał między Czchowem a Bochnią warjant, mianowicie odnogę zdążającą do Bochni przez Uszew i Brzeźnicę<sup>5)</sup>. Śladem jej jest szeroki trawiasty ujazd, idący od Brzeźnicy ku Zbójeckiej karczynie i łączący się tuż przy niej z traktem głównym. Była to odnoga starsza i niegdyś używana wyłącznie.

<sup>1)</sup> Lib. ben. I s. 227, II s. 125.

<sup>2)</sup> J. Seruga i Z. Hendel: Kościół Narodzenia N. M. P. w Łapczycy s. 19—34.

<sup>3)</sup> cf. Seruga i Hendel op. cit. s. 11.

<sup>4)</sup> Długosz: Hist. Pol. III s. 262.

<sup>5)</sup> Szumański: s. 34.

Nad jej bezpieczeństwem czuwał w zamierzchłych czasach — jakiś tajemniczy „gródek“, o którym historia nic nie wie, a którego ślad zachował się jedynie w nazwie płaskiego zalesionego wzgórze, wznoszącego się tuż nad Brzeźnicą, a może i w nazwie pobliskiego lasu „Przysieki“, zdającej się wskazywać na to, że tam niegdyś *przesiekami*, czyli barykadą z powalonych drzew zagradzano napastnikom przystęp do gródka. Z początkiem XIV w. ten uszewsko-brzeźnicki odcinek traktu utracił swoje dawne znaczenie: musiał ustąpić pierwszeństwa krótszemu i wygodniejszemu połączeniu Czchowa z Bochnią przez Lipnicę i Wiśnicz.

Podobną strażnicą przydrożną musiał być w czasach piastowskich także wiśnicki zamek. Najdawniejsza wzmianka o nim pochodzi wprawdzie dopiero z r. 1441<sup>1)</sup>, ale nie ulega wątpliwości, że miał on wtedy poza sobą, jako przydrożna warownia, już kilka wieków istnienia.

Najdawniejszymi znanymi właścicielami Wiśnicza byli Gryfici, od których drogą zapisu biskupa płockiego Andrzeja z r. 1242 przeszła ta posiadłość w ręce Benedyktynek staniąteckich<sup>2)</sup>. Okres świetności Wiśnicza zaczyna się jednak dopiero z chwilą, kiedy gródek wraz z całą okolicą znalazł się w posiadaniu Kmitów. Kiedy się to stało, niewiadomo. Za czasów Kazimierza W. jest już Wiśnicz głównym punktem oparcia tego rodu i siedzibą słynnego Jaśka Kmity. Musiał to być człowiek wykształcony i obyty w świecie i umiał sobie łaski Kazimierza W. pozyskać, kiedy go król jako posła na obce dwory wysyłał<sup>3)</sup>. Należał też widocznie do najbliższego otoczenia króla i towarzyszył mu w podróżach po kraju, gdyż kilkakrotnie spotykamy jego nazwisko między świadkami, wymienionymi na kazimierzowskich przywilejach, datowanych z różnych miejscowości państwa<sup>4)</sup>. Łatwo sobie też wyobrazić, że kiedy król przejeżdżał od Bochni w stronę Sącza, nie odrzucał zaprosin Kmity i nie gardził gościnną i odpoczynkiem w wiśnickim zamku, zwłaszcza że droga przechodziła tuż obok zamkowej góry. Widać tam jeszcze dziś od strony północnej odcinek tego traktu, złożony jakby z całej wiązki ciasnych

1) Star. prawa pol. pomn. II Nr. 2898.

2) Kod. Mpol. II s. 63—67; Lib. ben. s. 299.

3) J. Dąbrowski: Dzieje. II s. 134.

4) Jaśko Kmity był później zaufanym sługą królowej Elżbiety. Zginął w r. 1376 w Krakowie w czasie bójki węgierskich pachołków królowej ze sługami panów z Brzezia. (Długosz: Historia III 369—370).

równoległych wąwozów, przecinających falisty teren. Kazimierz W., który jak wiadomo cały węgierski trakt pragnął jak najsilniej umocnić i ubezpieczyć<sup>1)</sup> i w tym celu wznosił zamki (Czorsztyń<sup>2)</sup>), miasta otaczał murami (Czchów<sup>3)</sup>) i pod opiekę swoją brał gródki prywatne<sup>4)</sup>, nie mógł oczywiście patrzeć obojętnie na zamek wiśnicki, który był na tym szlaku ostatnim, najbardziej na północ wysuniętym punktem obronnym. Kto wie, czy nie on właśnie, chcąc jakoby zaznaczyć opiekę swoją nad tym zamkiem, wyznaczył na jego utrzymanie pewną ilość soli z żup bocheńskich. Dotacja była tak mała<sup>5)</sup>, że już to samo wskazuje na jej charakter symboliczny, zwłaszcza, że Kmitowie, którzy mieli własne udziały w bocheńskiej soli nie potrzebowali żadnych takich zasiłków<sup>6)</sup>.

Łatwo sobie wyobrazić, jak cały ten trakt węgierski wyglądał w czasie roztopów. Do ciężkich węgierskich wozów zaprzęgano po pięć i siedem koni, a jednak zdaje się, że mimo to na wielu odcinkach drogi konie i wozy musiały tonąć w błocie<sup>7)</sup>, przyczem i towary ulegały zniszczeniu. Te trudności i możliwości strat w towarze wskutek dróg złych miał niezawodnie na myśli Kazimierz W., kiedy w 1368 r., naznaczając niskie stosunkowo ceny na sól, przeznaczoną na Węgry, uzasadnia tę zniżkę cen tem, że „bałwan soli, przedstawiający wartość dwóch grzywien,

---

1) H. Langierówna: System obronny doliny Dunajca w XIV w. s. 26.

2) Ibidem s. 31—32.

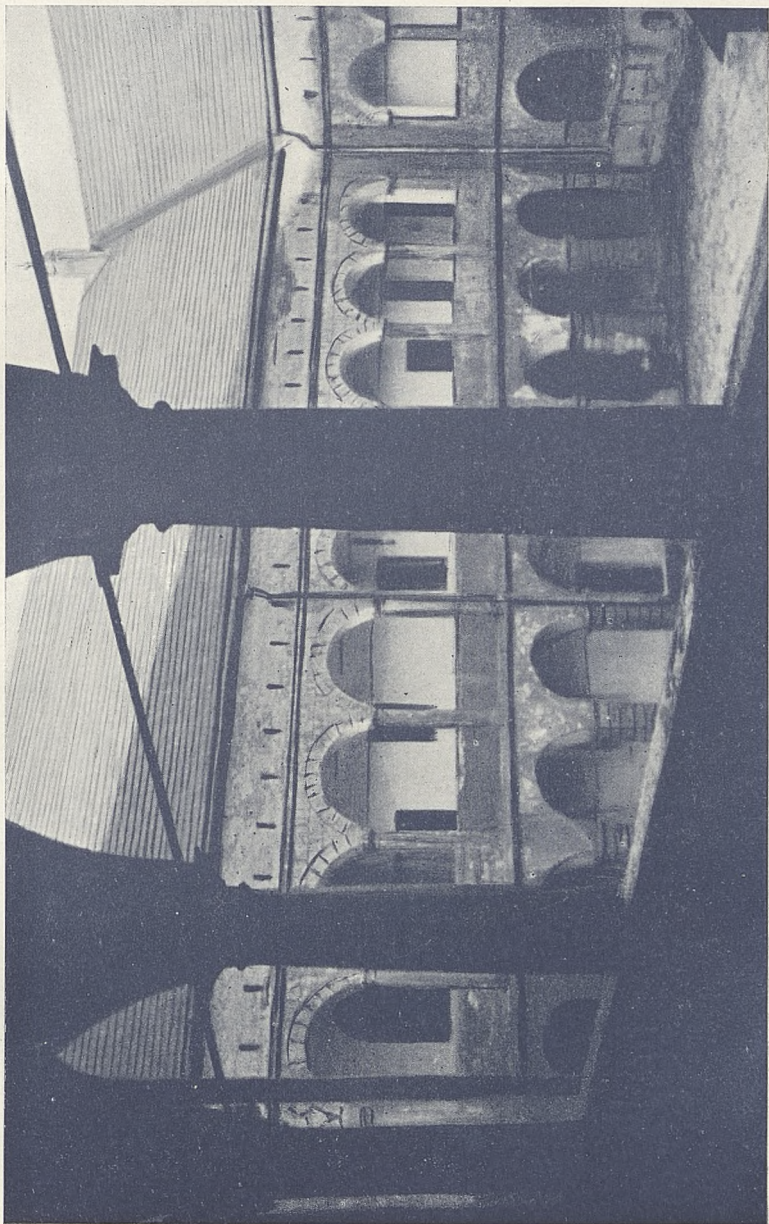
3) Ibidem s. 40.

4) Ibidem s. 28. W r. 1356 nadaje Kazimierz W. Muszynie magdeburgję a kilka lat później wynosi ją do godności miasta. Oczywiście stało się to ze względu na ważność tego miejsca jako placówki nadgranicznej i na obronny zamek muszyński.

5) Star. pr. pol. pomn. II Nr. 4284.

6) Ibidem.

7) Szumański, autor sumiennej, a cytowanej już kilkakrotnie pracy o drogach twierdzi, że drogi zaczęto u nas naprawiać dopiero z początkiem XV w. (Op. cit. s. 93 i 102). Zdaje się jednak, że drogi kupieckie naprawiano u nas już w XIV w., może nawet już w czasach Kazimierza W. Zdaje się o tem świadczyć ustęp w kontrakcie dzierżawy żup z 1413 r., w którym dzierżawca Piotr Pykaran obowiązuje się zgodnie z dawnym zwyczajem (*iuxta consuetudinem diutius observatam*) zepsute drogi i mosty swoim kosztem naprawiać, aby kupcy, przybywający po sól, mieli łatwiejszy dostęp do żupy. (*Liber formularum saeculi XV* s. 79). Odnosi się to oczywiście chyba do dróg bliższych miasta. W każdym razie ustęp ten świadczy, że już dawniej budziła się u nas jakaś troska o stan dróg.



8. Dziedziniec w niepołomickim zamku.



w drodze na Węgry tak się obflucze, że wart jest potem za-  
ledwie 1 1/2 florena<sup>1)</sup>).

Największe też transporty towarów przeciągały tędy w miesią-  
cach letnich, oraz w zimie, kiedy już śniegi dobrze umościły drogę.

Karpacki odcinek traktu był do przebycia oczywiście naj-  
cięższy, zarówno z powodu trudności terenowych, na które jeszcze  
Kromer w XVI w. tak wymownie się skarży, jako też ze względu  
na grożące kupcom wciąż niebezpieczeństwo ze strony zbójów,  
którzy z okolicznych zameczków górskich, przylepionych do skał,  
niby jaskółcze gniazda, i z komyszy leśnych niepokoili przyjeź-  
dzających kupców. Wiadomości o tych napadach pochodzą  
wprawdzie dopiero z XV w.<sup>2)</sup>, ale nie ulega wątpliwości, że  
i w XIV w. podróż przez te pustkowiec górskie i leśne nie należała  
do zbyt bezpiecznych.

Dla mieszczan bocheńskich i ich handlowych interesów  
droga w stronę Węgier była oczywiście ważniejsza, aniżeli droga  
w stronę Krakowa, bo na pierwszej byli bądź co bądź wolni od  
czujnej a zazdrosnej kontroli kupiectwa krakowskiego, natomiast  
droga przez Kraków była dla nich poprostu zamknięta. Inaczej  
przedstawia się wartość tych dwóch odcinków traktu, o ile chodzi  
o interesy królewskiego skarbu. Trzeba pamiętać, że aż do ostat-  
nich dziesięcioleci XIV w. daleko energiczniej eksploatowano  
sól w Bochni i więcej jej stąd wywożono niż z Wieliczki.  
Także wszystkie większe pensje, którei monarchowie obdarowy-  
wali kościoły i klasztory, były aż do końca XV w. prawie wyłącznie  
wydawane w bocheńskiej żupie. Znacznie mniej tych legatów ob-  
ciążało żupę wielicką. Wszystko to zdaje się świadczyć, że  
kopalnia wielicka nie była jeszcze w tych czasach należycie  
rozbudowana i nikt nie przewidywał jej olbrzymiego rozrostu,  
który miał nastąpić już tak prędko. Narazie bogatszym i wprost  
niewyczerpanym skarbcem wydawała się kopalnia bocheńska.  
Przewidując dalszy jej rozrost, a w związku z nim znaczne  
wzmożenie się produkcji soli bocheńskiej, chciał Kazimierz W.  
zapewnić jej szybki i tani eksport. Postanowił w tym celu zbu-  
dować kanał spławny, łączący Bochnię z Krakowem. Zabrano się  
do dzieła i to, jak się zdaje, równocześnie z dwóch stron, ale

---

<sup>1)</sup> Ordynacja żupna § 12.

<sup>2)</sup> Kutrzeba: Akta odnoszące się do stosunków handl. Polski z Węgrami  
s. 425, 439, 451, 452.

robotę tę, niewiadomo z jakich powodów, już w jej początkach przerwano. Jeszcze Długosz oglądał porzucone zaczątki tego kanału, który mu się wydawał dziełem „znakomitem i godnym zapamiętania“<sup>1)</sup>. Mówi też o nim wyraźnie jako o rzeczy tylko zaczętej<sup>2)</sup>, a wobec tego, że w żadnym innym historycznym źródle niema o kanale łączącym Bochnię z Krakowem jako o czemś istniejącem najmniejszej wzmianki, bo historycy późniejsi n. p. Kromer<sup>3)</sup>, już tylko Długoszową wiadomość powtarzają, nie dodając od siebie nic, więc nie ulega wątpliwości, że wspaniały pomysł Kazimierza nie doczekał się wykończenia. Niewiadomo też, kiedy budowę kanału rozpoczęto, i tylko z zestawienia Długoszowej wzmianki z dyplomatem kazimierzowskim z 1358 r.<sup>4)</sup>, gdzie jest wzmianka o sprowadzeniu Wisły do jej pierwotnego koryta, można wnosić, że ten zamysł powziął i zarzucił Kazimierz W. niedługo przed wymienionym rokiem. Śladów kanału domyśla się Szujski „w nizinach Płaszowa i mokradłach t. zw. Drzewiny, poniżej Rybitw“<sup>5)</sup>. Nie jest wykluczone, że od strony Bochni pozostałością po kanale są długie wąskie stawy w Cikowicach<sup>6)</sup>.

\*

\*

\*

Z traktem węgierskim łączyła się w Bochni ważna droga wschodnia, idąca ze Lwowa przez Przemyśl, Rzeszów, Ropczyce, Tarnów i Brzesko w stronę Krakowa. Nie był to wprawdzie trakt nowy, ale aż do czasów Kazimierza W. mało uczęszczany i zaniedbany<sup>7)</sup>. Na przestrzeniach, które przecinał, zwłaszcza między Dunajem i Wisłoką, szumiały jeszcze w pierwszej połowie XIV w. dziewicze lasy, przez które tu i ówdzie snuła się poprzerywana

1) Długosz: *Historiae Polonicae* t. III p. 288.

2) Mylne jest zatem twierdzenie Szajnochy, że „z Krakowa do Bochni prowadził kanał“. (*Jadwiga i Jagiełło. Dzieła* t. IV s. 316).

3) M. Kromer: *Kronika polska*, wyd. Tur. s. 633, 634.

4) *Kod. m. Krak.* I s. 35.

5) Szujski: *Opowiad. i roztrząs. hist.* s. 188.

6) Ludwik Ślasiak rozpoznawał jakieś resztki portu w Chodenicach w istniejącym dotąd kawałku wału, ale zdaje się, że go w tym wypadku, jak w wielu innych fantazja zbyt daleko poniosła.

7) Szumański: s. 62.

nić lichych drożyn, służących niemal wyłącznie potrzebom lokalnym, bo cały wielki handel ze Wschodem korzystał w tym czasie z traktu, idącego z Krakowa wzdłuż lewego brzegu Wisły do Sandomierza i stamtąd dalej na wschód<sup>1)</sup>. Była to droga oczywiście znacznie dłuższa, ale już ustalona, a ważność jej podtrzymywało to jeszcze, że wzdłuż niej wyrósł cały szereg miast i miasteczek, które były dogodnymi punktami oparcia dla kupieckich karawan. Nowa a względnie odnowiona droga przez Ropczyce i Bochnię była znacznie krótsza niż tamta, a jej udostępnienie i ustalenie łączyło się z kazimierzowskim planem skolonizowania i zagospodarowania tych leśnych pustkowi, o których wyżej wspomnieliśmy. Pracy tej król w znacznej mierze dokonał, a kiedy wzdłuż tego odnowionego szlaku zakwitnęły nowe miasta<sup>2)</sup>, droga ta wzięła wnet górę nad traktem nadwiślańskim i pod koniec panowania Kazimierza W. stała się głównym łącznikiem handlowym między Krakowem i Lwowem. W Bochni zwano ten trakt „drogą ropczycką“;

Dzięki niej Bochnia, jako jedna z jej stacyj, i to leżąca na skrzyżowaniu się dróg, ciągnęła pewne korzyści ze wschodniego handlu. Jakie one były, o tem mówiliśmy już wyżej.

\*

\*

\*

Bodaj czy nie najżywotniejszymi arterjami bocheńskiego handlu były dwie drogi, idące z Bochni na północ, względnie północny zachód w stronę Wisły. Jedna z nich szła do Niepołomic, a stamtąd przez Wisłę do Słomnik, gdzie się łączyła z idącą z Krakowa drogą miechowską. Za początek jej w Bochni możnaby uważać Solną Górę, ulicę Szpitalną i Karosek, zwany w XV w. ulicą Czarną (*via nigra*). Druga droga północna zaczynała się w Bochni prawdopodobnie ulicą św. Leonarda i Krzczowską. Snuła się ona prawym brzegiem Raby przez Gawłów i Bogucice do Uścia, poczem po przeprawie przez Wisłę szła dwiema odnogami w głąb kraju. Obie omawiane drogi miały oczywiście wiele rozgałęzień, ale zarówno niepołomiczka jak i uściańska biegły zasadniczo w stronę Piotrkowa, który był niejako osta-

1) Szumański: Op. cit. s. 65.

2) Pilzno otrzymuje lokację w 1354 r., Ropczyce w 1362 r., Dębica 1372 r.

teczną ich stacją. Utrwaliła się też w Bochni już w XV w. nazwa „drogi piotrkowskiej“, którą możnaby wprawdzie łączyć z obu omawianymi szlakami. zdaje się jednak, że nazwą tą oznaczono tylko szlak uściański, który znacznie ważniejszą rolę w dziejach bocheńskiego handlu odegrał, aniżeli droga niepołomska. Droga uściańską szły przez kilka wieków znaczne transporty soli do środkowej i północnej Polski, i na tem polega jej znaczenie od XV w. aż do końca osiemnastego, ale w czasach Kazimierza W. wywozili bochnianie tą drogą w głąb kraju i do Torunia także towary węgierskie, co tak krakowskich kupców oburzało. Kazimierz W., doceniając jej wartość, założył przy niej w 1360 r. u ujścia Raby do Wisły miasteczko Uście, zwane później Uściem Solnem. Miał to być punkt oparcia dla całego ruchu handlowego, idącego z Bochni na północ<sup>1)</sup>.



---

<sup>1)</sup> cf. Z. Golińska-Daszyńska: Uście Solne s. 13.



9. Kościół parafialny w Niepołomicach.



## V

**W**Bochni bywał król Kazimierz częstym gościem, więc chyba nie przystrajano ulic na jego przyjęcie festonami, cechy nie występowały ze sztandarami, nie tworzone szpalerów, nie było fanfar, chociaż to wszystko było już wtedy w modzie<sup>1)</sup>. Raczej sobie trzeba wyobrazić, że jego królewski wóz samorzutnie, bez komendy i nawoływań otaczały tłumy ludzi: każdy się cisnął do króla, żeby choć usłyszeć jego głos, podchwycić jego spojrzenie i dobroliwy uśmiech, żeby choć zobaczyć z bliska tego władcę, o którym mówiono, że „umiłował pokój prawdę i sprawiedliwość“, że jest „opiekunem i obrońcą dobrych i sprawiedliwych“, i po którym pozostała zaszczytna pośmiertna wieść, że „jak długo berło w swej ręce dzierżył, żaden szlachcic, czy choćby najmożniejszy pan nie śmiał biedakowi wyrządzać krzywdy“<sup>2)</sup>. Podczas gdy dla innych dzielnic państwa Kazimierz W. ustanowił starostów, którzy w jego imieniu mieli załatwiać administracyjne czynności i odbywać sądy, w Małopolsce on te czynności wykonywał osobiście. Więc cisnęli się do niego wszyscy, którzy szukali sprawiedliwości, przedkładali swoje prośby i skargi, a on każdego wysłuchał i każdemu oddał sprawiedliwość. Dokumentem, stwierdzającym częste królewskie przyjazdy, jest już choćby Ordynacja żupna z r. 1368, w której sobie król zastrzega, że dwa razy do roku ma żupnik przyjąć u siebie i ugościć należycie jego i jego dwór, a nadto złożyć królowi w darze 100 złotych florenów, a królowej 50. Zarówno

<sup>1)</sup> cf. Janko z Czarnkowa: Opis przyjęcia Ludwika Węgierskiego przez krakowskich mieszczan na wzgórzu Lassota pod Krakowem (Mon. Polski hist. II 637).

<sup>2)</sup> Długosz: *Historiae Polonicae* t. III p. 326; Janko z Czarnkowa (Mon. Pol. hist. II 648).

Ordynacja (§ 35 i 36) jak i kontrakty narzucają na żupnika obowiązek utrzymywania królewskich koni<sup>1)</sup>. Były to oczywiście konie rozstawne, które w czasie dłuższych podróży królewskich wprzęgano do wozów w miejsce koni zmęczonych.

Dwór królewski nawet w podróży był liczny, więc i ciężar przyjęcia tylu gości musiał być znaczny. A jednak przyjęcia i uczyty, które przy takich okazjach żupnik na cześć dostojnego gościa urządzał, były niewątpliwie wystawne. Z komor i skrzyń żupnika wydobywano najpiękniejsze tkaniny wschodnie i szkarłatne flandryjskie sukna i przystrajano niemi sale, zapalano setki świec, podawano wino i miód w rogach oprawionych w srebro i złoto, i szły na stół najbardziej wyszukane zamorskie smakołyki, o które zwłaszcza genueńczykom nie było trudno. Nie ulega wątpliwości, że żupnik przy takiej okazji nie robił sobie nic z owych słynnych edyktów królewskich przeciw zbytkom<sup>2)</sup> i rozłączał przed królem cały polor i przepych zachodnio-europejskich pańskich uczt, tembardziej, że Kazimierz W. osobiście w przepychu się lubował. Oczywiście nie brakło też tam ani trefnisiów (*ioculafores*), ani poetów układających okolicznościowe wiersze (*rimarii*), ani muzyki, ani tańca.

Kazimierz W. lubił przy sobie widzieć rój ludzi, więc też niezawodnie cała elita miejscowa i okoliczna w tych ucztach uczestniczyła. Należała do niej przedewszystkiem rodzina żupnika. Zarówno do Paulina Cavallo, jak Peterlina i Gotfryda de Fattinante stosunek króla był łaskawy, więc nie ulega wątpliwości, że z takiej okazji jak pobyt jego w żupie i oni starali się wyciągnąć dla siebie jak największe korzyści i ich krewniacy, a pewnie także i cała *familia montium*. Każdy się do króla cisnął, żeby coś z łask jego uszczknąć. Do tego grona należał syn i współpracownik Paulina Cavallo, Jan, podzupek wielicki, którego rozum i doświadczenie widocznie król musiał cenić, kiedy go w r. 1368 powołał w skład komisji, układającej Ordynację. Był to człowiek obrotny i snadź znacznego majątku się dorobił, kiedy pod koniec życia mógł nabyć wójtostwo wielickie i żupę tamtejszą wziąć w dzierżawę<sup>3)</sup>. Inny jakiś krewniak żupnika Pawła, Andrzej,

1) W kontraktach dzierżawnych z lat 1392 i 1405 jest mowa o 40 koniach królewskich; w kontrakcie z 1413 o 48 koniach. W kontrakcie z r. 1425 jest jeszcze wyjaśnienie, że z tych koni królewskich 20 ma być utrzymywanych przy żupie bocheńskiej, 20 przy żupie wielickiej.

2) Edykt z r. 1336, Kod. m. Krak. I s. 23—25 i II s. 371.

3) Kultura włoska s. 31.

także przy kopalni obrastał w pierze i zapewne także kąpał się w promieniach królewskich łask, bo z początkiem w. XV spotykamy nazwisko jego w aktach z tytułem żupnika, wkońcu widzimy go na stanowisku wójta najwyższego sądu niemieckiego na zamku krakowskim. Ten Andrzej przybrał nazwisko Czarnysza i jako taki wszedł w polską szlachtę<sup>1)</sup>. Z pomiędzy należących do tej rodziny niewiast król najchętniej widział w swem towarzystwie piękną żonę żupnika Pawła, Fenennę.

Towarzystwo musiało się oczywiście częściowo zmienić, kiedy zarząd żup dostał się w ręce Gotfryda de Fattinante. Gotfryd nie był żonaty<sup>2)</sup>, ale miał przy sobie siostrę Małgorzatę<sup>3)</sup>, która w jego domu niezawodnie obowiązki pani i gospodyni pełniła. Wydał ją za patrycjusza bocheńskiego Pegzę (pisał się Pegza de Bochnia<sup>4)</sup>), człowieka bogatego, który zczasem kilka wsi nabył i od jednej z nich począł się pisać Iacussius dictus Pegza de Pielgrzymowice<sup>5)</sup>. Musiał być uczonym, a przytem widocznie umiał łaski królewskie pozyskać, kiedy go Kazimierz W. pisarzem swojej kancelarji zamianował<sup>6)</sup>. Pod koniec życia widzimy go podobnie jak Czarnyszę na stanowisku wójta najwyższego niemieckiego sądu<sup>7)</sup>.

Do miejscowej elity należała oczywiście rodzina bocheńskiego wójta. Byli to z pochodzenia Niemcy. Jeszcze sobie przybierali najchętniej imiona germańskie jak Gerhard i Wilhelm, ale już byli szlachtą herbu Trąby, a zawołania Brzezina (vel Trąba)<sup>8)</sup>. Rodzina ta miała już czas na swoim dziedzicznym wójtostwie, a może i handlu, dorobić się fortuny znacznej i już prawie wchodziła w szeregi magnaterji. Jedna gałąź rodu, Jordanowie, dzierżyła wójtostwo myślenickie i urząd bachmistrzowski w Wieliczce<sup>9)</sup>, i z dochodów swych nabywała obszerne majątki ziemskie. Do tej rodziny należeli dalej Jordanowie-Dołuscy w Dołuszcach koło Bochni i Wilamowie-Chodzieńscy w Chodenicach. W czasach kazimierzowskich długoletnim wójtem bocheńskim był Gerhard. Miał trzy córki i dwóch bratanków, Mikołaja i Wil-

1) Ibidem.

2) Kultura włoska s. 33.

3) J. Płaśnik: Studja nad patryc. krak. I s. 91—92.

4), 5), 6), 7) Kod. mpol. III s. 238, 244, 335.

8) Inscriptiones clenodiales zap. 250; Star. prawa pol. pomn. II zap. 92.

9) Kod. mpol. I s. 406—407; Star. prawa pol. pomn. II zap. 1089 i 3866.

helma<sup>1)</sup>, którzy później występują w aktach równocześnie jako bocheńscy wójtowie. Jednym z zięciów Gerharda był Krystyn Myszka z Nieprześni, później podsędek krakowski. Tej samej rodziny członkiem był wreszcie Piotr Penak<sup>2)</sup>, bachmistrz szybu wojewódzkiego i szewskiego w Bochni, wymieniony pod r. 1368, jako członek komisji, układającej Ordynację, później właściciel wójtostwa w Tymbarku i wójt najwyższego sądu prawa niemieckiego na zamku krakowskim. Z innych patrycjuszowskich rodzin bocheńskich dostęp do króla mieli niezawodnie Bochnerowie w osobach Mikołaja (zm. ok. 1375), jego żony Klary, a pewnie także ich dzieci, z których syn, Mikołaj, wstąpił się za czasów Jagielly jako myncherz, celnik i żupnik<sup>3)</sup>.

Nie brakło w otoczeniu króla także przedstawicieli tych kilku możliwych rycerskich rodów ziemi bocheńskiej, które w tym właśnie czasie zaczęły się wysuwać z dziejowej mgły, ażeby wnet sięgnąć po pierwsze dostojęstwa w państwie. Jednym z takich rodów, sąsiadujących blisko z Bochnią, byli Bąkowie z Brzezia k. Zadora, praojcowie późniejszych Lanckorońskich, Rusockich i Marszakowiczów. Umieili oni sobie w tym stopniu pozyskać królewską łaskę, że jeszcze na łożu śmierci pamiętał Kazimierz W. o synach Zbigniewa z Brzezia i zapisał im testamentem miasto Wodzisław<sup>4)</sup>. Takim zbliżonym do króla rodem byli dalej Ligęzowie-Półkozice, panowie obszernych posiadłości nad dolną Stradomką i Rabą, z gniazdami rodowymi w Niewiarowie i Niegowici (Jaśko syn Pakosza z Niewiarowa).

W Kurowie koło Bochni siedzieli Śreniawici-Kurowscy. Nie mamy wprawdzie bezpośrednich wiadomości o jakichś bliższych stosunkach ich z królem, jeżeli się jednak zważy, że syn tego rodu, Mikołaj<sup>5)</sup>, urodzony około 1355 r., a więc w chwili śmierci Kazimierz W. 15 letnie pacholę, potem student praski, szedł szybko krokiem ku swojej karierze<sup>6)</sup>, można przypuścić, że początki powodzenia Kurowskich sięgają w czasy kazimierzowskie. Mikołaj, późniejszy biskup poznański, wrocławski, wreszcie

1) J. Ptaśnik: Studja nad patrycjatem krak. I. s. 63—64.

2) Ibidem.

3) J. Ptaśnik: Studja... s. 64—66.

4) Kronika Janka z Czarnkowa — Mon. Pol. hist. II s. 6—4.

5) Ojcem jego był dziedzic Kurowa, Klemens, matką Katarzyna. Długosz: Opera I (Vitae episcoporum) s. 367.

6) Przew. nauk. i lit. (X. J. Fijałek) r. 1894 s. 260 i n.



10. Wnętrze kościoła parafjalnego w Niepołomicach.



arcybiskup gnieźnieński (zm. w r. 1411) był jakgdyby typowym wychowankiem kazimierzowskiej szkoły, bo choć ksiądz, niezbyt był poprawny w obyczajach<sup>1)</sup>, a zato wielką miał skłonność do wszelkiego rodzaju interesów, zwłaszcza handlowych. Długosz pisze o nim, że wysyłając często okręty ze zbożem i mięsiwem do Flandrii, zebrał wielkie skarby w złocie i klejnotach, które w spadku pozostawił swemu brańkowi Piotrowi<sup>2)</sup>. Na południe od Kurowa siedzieli w Wiśniczu, Kobylu, Rogoziu, Połomiu i Łomnej Śreniawici-Kmitowie.

Gwiazda Gryfitów, którzy niegdyś byli panami tych stron, a których resztki siedziały jeszcze w Chronowie koło Wiśnicza i kilku sąsiednich wsiach, już wtedy zgasła. Nie wybiła też jeszcze godzina dla Drużynitów, których gniazda rodowe leżały między górną Stradomką a Rabą<sup>3)</sup>, ale i z pomiędzy nich już pojedyncze postacie jak n. p. Zbigniew, kanclerz krakowski, zaczynają dochodzić do wielkiego znaczenia i wpływów. Wymienione wyżej rody, sądząc z ich karier, umiały pozyskać sobie królewskie względy i w blaskach królewskich łask torowały sobie drogę do przyszłego znaczenia i fortun.

Kazimierz W., jakkolwiek z wyższem duchowieństwem miał zatargi częste, lubił towarzystwo księży<sup>4)</sup>, więc i na zebraniach, które na jego cześć żupnicy urządzali, księży chyba nie brakło. Jednym z nich był ów ks. Jan, prebendarz bocheńskiej żupy, którego udział w życiu salin musiał być znaczny, kiedy go król, jako jednego z fachowców powołał do komisji, układającej Ordynację żupną. Król był kolatorem bocheńskiej fary<sup>5)</sup> i z jego rąk otrzymał to beneficjum ks. Wojciech<sup>6)</sup>, bochnianin, pochodzący niezawodnie z któregoś z miejscowych patrycjuszowskich rodów. Był to człowiek gładki, towarzyski, a zarazem wielce uczony prawnik, który wnet tak królowi do serca przypadł, że go kanclerzem dobrzyńskim zamianował, sekretarzem swoim uczynił<sup>7)</sup>, a po-

1) Długosz I. c. s. 369.

2) Długosz IV p. 125.

3) Łapanów był gniazdem Drużynitów-Łapków, Lubomierz Lubomirskich, Stądniki Stądnickich, Lipie Lipskich, w Wieruszycach siedzieli Drużynici-Wieruscy, w Słupi Słupscy i t. d.

4) Janko z Czarnkowa: „clericos, quos sciebat esse castos et bonae conversationis nimium diligebat“ (Mon. Pol. hist. II s. 624).

5) Lib. benef. II p. 126, III p. 289.

6) Mon. Pol. Vatic. III p. 332.

7) Mon. Pol. Vatic. III p. 312; Kod. wielkopolski II s. 601.

znawszy bliżej jego dyplomatyczne zdolności, chętnie go używał do poselstw, wymagających jak największego taktu i ostrożności. Wykorzystywał też ks. Wojciech swoje wpływy u króla na korzyść swoją i Bochni, w której stale rezydował, choć dzięki królewskiej i papieskiej łasce inne prebendy, znacznie bogatsze i zaszczytniejsze, dostały mu się zczasem w udziale<sup>1)</sup>. Prawdopodobnie z nazwiskiem jego i jego królewskiego kolatora wiązać należy przebudowę bocheńskiej fary św. Mikołaja w nadwiślańsko-gotyckim stylu<sup>2)</sup>. Z jakim nakładem starań ten kościół przebudowano i jakie umiejętno ręce były w tym dziele czynne, o tem świadczy dochowana z owych czasów do dziś szczytowa ściana kościoła, która przez swą cudowną rytmikę wnek, trójnałęczy i sterczyn wydaje się jak gdyby pieśnią zaklętą w kamień i cegłę. Za inicjatywą księdza Alberta a na prośby króla, wystosowane do pap. Innocentego VI, otrzymał bocheński kościół w r. 1353 przywilej studniowego odpustu dla wszystkich wiernych, którzy w tym kościele w niedzielę wysłuchają Mszy św. ku czci Najświętszej Panny<sup>3)</sup>.

Niezwykła łaskawość, z jaką się Kazimierz odnosił do proboszcza Wojciecha, płynęła może stąd, że bocheński proboszcz był niezwykle wyrozumiały na niektóre królewskie ekstrawagancje. Oto królowi bardzo podobała się wspomniana już raz Fenenna, żona żupnika Paulina Cavallo, wybijająca się ponad wszystkie bocheńskie panie urodą, wykształceniem, strojami i blaskiem drogich kamieni i pereł. Królowi widocznie bardzo zależało na jej względach, bo wysyłając ks. Wojciecha w r. 1350 w poselstwie do Awinjonu, do pap. Klemensa VI, kładzie mu na sercu i załatwić poleca między innymi i taką ciekawą sprawę: oto prosi król Ojca św. o przywilej, aby spowiednik, którego sobie obierze, mógł mu odpuszczać wszystkie grzechy, jakie on, król Kazimierz, popełni. A o ten sam przywilej prosi król dla Fenenny i innej jeszcze jakiejś damy, a przez niezwykłą uprzejmość także dla mężów obu pań<sup>4)</sup>. Ciekawa prośba, ale jeszcze ciekawsze

1) Posiadał kanonję w Krakowie, kanonję uniejowską w Gnieźnie, wreszcie pod koniec życia otrzymał nominację na dziekana włocławskiego. (Mon. Polski Vatic. III p. 312, 332, 388; Mon. Pol. hist. II (Janko z Czarnkowa) p. 677). Umarł ks. Wojciech w r. 1360 (ibid.).

2) cf. J. Dąbrowski: Dzieje Polski średniow. II s. 152.

3) Mon. Pol. Vatic. III p. 342.

4) Mon. Pol. Vatic. III p. 331—332.

i charakteryczniejsze dla ducha czasu to, że ks. Wojciech nie wahał się takiej prośby papieżowi przedłożyć<sup>1</sup>).

Obyczaje prywatne Kazimierza W. były wogóle dosyć luźne i niesforne. Ten król, który jako władca był wzorem monarchów, zwierciadłem sprawiedliwości i dobrych obyczajów w sprawach publicznych, nie poddawał się żadnym więzom i nie krępował się niczem, kiedy chodziło o dogodzenie własnym, zdrożnym zachciankom. Zawsze mu się jakieś obce niewiasty podobały i zarówno historia jak i podanie ma o tych jego miłośkach, choćby tylko tych, które się rozegrały na terenie bocheńszczyzny, dość dużo do powiedzenia. W Niepołomicach żyje dotąd wieść o tej jakiejś uroczej pani Kościeleckiej, dla której naprzeciwko Niepołomic, po drugiej stronie Wisły, Kazimierz W. zameczek wybudował i złotą gondolą do niej jeździł<sup>2</sup>). Z Łączycą znów wiąże się historia awantury z Rokiczaną. Jeżeli kościół łączycki został wzniesiony przez króla, jako wotum, mające przebłagać Pana Boga, za grzech bigamji<sup>3</sup>), to wprost narzuca się pytanie, czy przypadkowo i kościół w Niepołomicach nie był spełnieniem podobnego ślubu za jakiś podobny grzech, i czy takim wotum nie był także kościół w Rzezawie<sup>4</sup>).

Jeżeli chodzi o to połączenie zmysłowości i z nią związanych nadużyć z dziełami pobożnymi króla Kazimierza, z jego hojnością dla kościołów i dbałością o służbę Bożą, to dziwnie ten Kazimierz przypomina biblijnego Salomona. Ta sama u obu niepohamowana zmysłowość, ten sam gest pobożny, ta sama gotowość wynagradzania grzechów złotem i ofiarami pieniężnymi na kościół i nabożeństwa, ta sama u obu mądrość władcy i sprawiedliwość wobec poddanych i ta sama pogańskość pry-

---

1) Papieże w owych czasach niejednokrotnie dawali monarchom pozwolenie wybierania sobie spowiedników i tym spowiednikom nadawali nawet prawo udzielania swym wysokim penitencjarzuszom różnych odpustów. Podobny przywilej otrzymała np. siostra Kazimierza W. Elżbieta od pap. Jana XXII w r. 1323 (J. Dąbrowski: Elżbieta Łokietkówna, rozpr. Ak. Um. S. II. T. 32 s. 320). Kazimierz W. w swoich żądaniach poszedł jednak znacznie dalej.

2) Zameczek wznosił się 1½ km. od dzisiejszego koryta Wisły w przysiółku Ochodza (gm. Wolica). Ruiny istniały jeszcze w poł. XIX w. Według innego podania zameczek ochocki zbudował Zygmunt Aug. dla swojej kochanki pani „Kościelnickiej”. (Słown. geogr. VII s. 365).

3) Długosz: Hist. Pol. III p. 262; cf. J. Seruga i Z. Hendel: Kościół Narodzenia Najśw. Marji Panny w Łączycy s. 11.

4) Rzezawa sąsiadowała bezpośrednio z Krzeczowem, gdzie król według Długosza miał mieć swój harem (Hist. Pol. III p. 235).

watnego życia. Dziwne, że te jego zdrożne popędy i słabość w życiu prywatnem nie stępiły bystrości jego spojrzenia na zagadnienia, dotyczące spraw państwa, że nie złamały jego energii i nie przeszkodziły mu w spełnieniu jak najuczciwszem wszystkich obowiązków wobec poddanych i państwa.

\* \* \*

\*

Rada miejska, jako emanacja warstw górujących nad popółstwem jużto wykształceniem, jużto majątkiem, wywierała decydujący wpływ na życie miejskie. Do niej należał nie tylko zarząd miasta, a więc czynności administracyjne, policyjne i skarbowe, ale i całe bezsporne i obyczajowe sądownictwo. Ona się opiekowała wszystkimi bractwami i cechami w mieście (*patroni et provisores omnium contuberniorum et fraternifatum*), cechom nadawała statuty, w swe ręce wzięła zarząd kościelnego majątku, całą troską o konserwację kościoła i o wewnętrzny w nim porządek (*patroni et tutores ecclesiarum*), była wreszcie ciałem prawodawczym, wydającym ustawy, obowiązujące w obrębie miasta, czyli t. zw. wilkierze. Rzecz prosta, że od składu Rady, od doboru ludzi zależała powaga tej obywatelskiej reprezentacji zarówno wobec ogółu mieszczaństwa, jak i dziedzicznego wójta, któremu przysługiwała we wszystkie sprawy miejskie bardzo daleko posunięta ingerencja. Nie mamy wiadomości, jak było z wyborami rajców w Bochni za Kazimierza W.: czy ich wybierał ogół obywateli, czy też jak w wieku XVI, XVII, i XVIII, rajców poprostu mianował wójt. Można tylko przypuścić, że w w. XIV o powołaniu tego czy innego obywatela w skład Rady decydowała jeszcze wola mieszczaństwa. Przemawia za tem aktywność, energja i przedsiębiorczość Rady, a choćby i skarga, jaką w r. 1396 ośmielili się rajcy wnieść do króla przeciwko dziedzicznemu wójtowi, Walidowi i Stanisławowi, w obronie całego szeregu swoich uprawnień<sup>1)</sup>. Spór taki nie byłby do pomyślenia, gdyby skład Rady zależał ściśle od wójta.

Z czasów kazimierzowskich znamy tylko pojedyncze nazwiska rajców, a całą ich listę z r. 1364<sup>2)</sup> Prócz jednego Pe-

<sup>1)</sup> Acta kons. 1776—1782 s. 124—127; H. Machnicki: Z przeszłości m. Bochni s. 18—23.

<sup>2)</sup> Kodeks mogiński s. 66.

terlina Cavallo, który był rajcą w r. 1357, inne nazwiska nie mówią zgoła nic. Ten jakiś n. p. Krystan zwany Bostil, rajca z r. 1364, albo Jan Ścibor, Kwietko, czy Staszek, mogli być albo naprawdę samodzielnie myślącymi ludźmi, albo tylko figurantami, pukającymi w palce, kiedy się trzeba było zdecydować na swoje *tak* lub *nie*. Jeżeli się jednak zważy, że ówczesne bujne życie Bochni wymagało od Rady mlejskiej ciągłej czujnej ingerencji, że choćby taka n. p. walka z Krakowem o prawo składu miedzi wymagała od niej pociągnięć i obliczonych dokładnie i zarazem stanowczych, to musimy przypuścić, że między owymi rajcami o nic nie mówiących nazwiskach był zastęp ludzi niezwykle inteligentnych, doświadczonych i energicznych, a przytem umiejących w każdej ważniejszej sprawie dotrzeć do króla i zdobyć jego poparcie. Energja i ambicja rajców bocheńskich wybiegały poza zakres typowych bieżących spraw. Okazało się to zarówno w dążeniu do zogniskowania węgierskiego handlu w Bochni, jak w udziale Rady w założeniu szpitala św. Krzyża, jak wreszcie, już po śmierci Kazimierza W., w udziale jej w założeniu klasztoru dominikanów<sup>1)</sup> i w kupnie Krzyżanowic nadrabskich na rzecz miasta<sup>2)</sup>.

Nie ulega wątpliwości, że element obcy, Genueńczycy, przyczynili się w znacznej mierze do rozbudzenia tej ruchliwości i energii bochnian, ale z drugiej strony można przypuścić, że ówczesne mieszczaństwo bocheńskie i bez tego wpływu, a tylko własnym instynktem wiedzione, szukałoby ekspansji dla swoich sił i ambicji. Wszak zanim jeszcze Paweł Cavallo w Bochni osiadł, był tu już zastęp ludzi, posiadających wykształcenie wyższe, którego na miejscu chyba zdobyć nie mogli.

Ten n. p. ks. Wojciech z Bochni, wykształcony prawnik i bywalec w świecie, który już w r. 1346, występuje jako proboszcz bocheński i kanclerz dobrzyński, musiał się kształcić chyba we Włoszech. Tosamo można przypuścić o ks. Andrzeju, synu Mikołaja z Bochni, którego siostra Kazimierzowa Elżbieta, na dwór królewski do Budy powołała. Służył jej jako kapelan już przed r. 1355<sup>3)</sup>, a musiał być człowiekiem nie tylko wykształ-

1) S. Barącz: Arch. OO. Dominikanów w Jarosławiu s. 6. cf. Abr. Bzowius: Propago D. Hyacinthi s. 5.

2) W r. 1392 Bochnia nabywa od Dzierżka syna Momota Krzyżanowice za 40 grzywien (Machnicki: s. 16—18).

3) Mon. Pol. Vatic. III s. 350.



Nie zachowała się z tych czasów ani jedna miejska księga, więc o narodowościowych i językowych stosunkach w ówczesnej Bochni wnieść można chyba tylko z kilkudziesięciu mieszczkańskich nazwisk, zachowanych w księgach krakowskich<sup>1)</sup> i przywilejach. Z góry trzeba zaznaczyć, że są to prawie wyłącznie nazwiska rajców, względnie ławników, w każdym razie ludzi, reprezentujących sfery zamożniejsze. Niektóre z nich brzmią po polsku, jak Jan Ścibor, Kwietko, Staszek, Mikołaj Obrączko, Maciej Chlewik, Grzegorz Bukowiec, Piotr Wierusz, Jan Czyrwyn (?), Michał Kołaczyc i kilka innych. Dość często jednak spotykamy jeszcze nazwiska niemieckie, jak Kristanus Bostil (r. 1364), Hanusek (r. 1364), Iohannes Hottirwasch (r. 1364, 1378), Mikołaj Kruze (r. 1365), Mikołaj Ungerfynt. Trzecią grupę stanowią same imiona, jak Jan, Jerzy, Mikołaj i t. d., z których o narodowości odnośnych ludzi nie można nic zgoła wnosić. Z tego zestawienia wynika, że żywioł niemiecki w zamożniejszych sferach mieszczkańskich był w w. XIV reprezentowany jeszcze dość silnie, zdaje się jednak, że już nie miał przewagi nad żywiołem polskim. Jeśli zaś chodzi o warstwy biedniejsze, czyli t. zw. pospólstwo, w pierwszym rzędzie górników, to można śmiało przypuścić, że wśród nich już stanowczo polskość dominowała. Przemawia za tem choćby to, że te warstwy zasilał ciągły napływ ludności z okolicznych wsi, a więc niewątpliwie ludności polskiej. Wogóle stwierdzić trzeba, wbrew opinii Ptaśnika<sup>2)</sup>, że żupy ówczesne bynajmniej nie były jakąś domeną Niemczyzny. Za Kazimierza W. częściej tam byli przy sterze Włosi niż Niemcy, a co się tyczy bachmistrzów, to choć wywodzili się oni przeważnie z rodzin niemieckich, należeli już do polskiej szlachty i czuli się Polakami (n. p. Jordanowie). Zresztą byli między nimi już w tych czasach także ludzie rdzennie polskiego pochodzenia, jak n. p. Jan Gładysz h. Gryf<sup>3)</sup>, albo choćby wymienieni w Ordynacji żupnej Jan i Rafał Tarnowscy, którzy także, jak się zdaje, jakieś bachmistrzowstwo w Bochni dzierżyli<sup>4)</sup>.

Jeżeli w czasach Kazimierza W. jeszcze jakieś żywioły w Bochni ciążyły ku swoim braciom w Niemczech, jeżeli kupcy

1) v. Najstarsze księgi m. Krak.; Kod. dypl. kat. krak.

2) J. Ptaśnik: Studja nad patryc. krak. I s. 78-79.

3) Kod. m. pol. III s. 110-111.

4) Ordynacja z r. 138 § 37; Kod. m. pol. IV s. 5.

bocheńscy mieli jakieś stosunki z Hanżą, a od wyroków ławniczego sądu odwoływali się jeszcze od czasu do czasu do Magdeburga, to wszystkie te związki przerwało utworzenie przez Kazimierza W. w r. 1356 wyższego sądu prawa niemieckiego na zamku krakowskim. Był to sąd apelacyjny, do którego we wszystkich wątpliwych sprawach prawnych miały się odtąd odnosić ławnicze sądy miejskie. Składał się z wójta i 7 ławników i stanowił wyższą instancję, od której wyroków można było zresztą odnosić się do najwyższej instancji w sprawach miejskich, jaką był dla Małopolski „Sąd sześciu miast“, złożony z 6 ławników, powołanych przez króla a reprezentujących miasta: Kraków, Kazimierz, Sącz, Bochnię, Wieliczkę i Olkusz. Chociaż król zabronił pod karą konfiskaty całego majątku zwracania się po ortyle czyli wyroki do Magdeburga, mieszczanie krakowscy jeszcze dłuższy czas usiłowali podtrzymać dawny swój kontakt z sądami tego miasta. Co się tyczy bochnian, to ci prawdopodobnie nie wyłamywali się z pod jurysdykcji krakowskiego wyższego sądu. Stosunki narodowościowe w Bochni przedstawiały się nieco inaczej niż w Krakowie. Niemcy procentowo byli tu znacznie słabsi, a temsamem pewnie mniej butni i lojalniejsi, i może tem się tłumaczy, że na stanowisku wójtów wyższego sądu niemieckiego na zamku krakowskim widzimy kilkakrotnie ludzi, którzy albo pochodzili z Bochni, albo tu dłuższy czas działali, jak znani nam już Piotr Penak, Andrzej Czarnysza i Pegza z Bochni.

W najstarszej bocheńskiej księdze miejskiej, pochodzącej z końca XV w.<sup>1)</sup> już ani jednego tekstu niemieckiego niema, a także nazwiska niemieckie należą już do nielicznych wyjątków.

\*

\*

\*

Wszystkie warstwy społeczne w Bochni ciągnęły bezpośrednio albo pośrednio zyski z salin. Zamożniejsi dorabiali się majątku na dostawach żupnych i handlu solą, mniej zamożni mieli dostatni chleb z szynkarstwa i kilku rzemiosł, dostarczających zarządowi żupnemu masowo produktów swego kunsztu, jak cech bednarski, kowalski i powróźniczy. Równocześnie żyły z pracy robotniczej w kopalni całe rzesze górników, rekrutujące

---

1) Acta Scabinalia 1486—1508 w Arch. m. Bochni.



11. Stara zakrystja w kościele w Niepołomicach.



się z biedniejszych i najbiedniejszych warstw miejscowego mieszczaństwa. Górnicy ci, pochodzący z rodzin już z dawien dawna osiadłych w Bochni, posesjonaci na jedno i dwu izbowych domach i kawałeczkach ziemi, posiadający prawo obywatelstwa miejskiego, mieli w kopalni pracę, która niejako dziedzicznie przechodziła z ojca na syna. Kopaczom, stanowiącym najwyżej cenioną grupę górników, wolno było nawet przybierać sobie do pomocy w kopalnianej pracy jednego z synów, i takiemu pomocnikowi zarząd żupy przyznawał wynagrodzenie w wysokości połowy płacy kopacza. Obok kopaczów (*sectores*), którzy wykuwali łańwany solne, osobne grupy stanowili kruszaczy (*crussarii*), którzy produkowali sól drobną, ładarze (*ladarii*), którzy tę sól, t. zw. minutową, nabijali w beczki, wozacy, którzy te beczki zwozili na t. zw. podszybia, ociegarze (*fragarii*), których zadaniem było przetaczanie łańwanów w poblize szybów, dalej kieratowi, cieśle „dolni“, burtowi czyli robotnicy, wygładzający ściany chodników, rzapiowi, których zadaniem było odprowadzanie wód z chodników i komor do zbiorników i wynoszenie nadmiaru wody na powierzchnię ziemi. Takich grup robotniczych było więcej, a stosunkowo bardzo wielka liczba zachowanych terminów, określających różne rodzaje górniczych zajęć, świadczy, że już w najdawniejszych czasach podział pracy i specjalizacja w zajęciach kopalnianych były bardzo daleko posunięte.

Najważniejsze i najsilniejsze z tych robotniczych grup, jak kopacze, kruszaczy, ociegarze i cieśle, byli związani w bractwa o charakterze ekonomiczno-religijnym, zorganizowane na kształt cechów, i korzystali ze specjalnych królewskich przywilejów. Nazywano ich też w Bochni robotnikami królewskimi. Była to elita robotnicza, górnicy-fachowcy, rozmiłowani w swojej pracy, związani z kopalnią niemal już od dzieciństwa, kasta ludzi, odcinająca się od reszty miejscowego społeczeństwa odrębną obyczajowością, wielką pobożnością i mistyczno-religijnym poglądem na świat i życie. Być może, że już wtedy istniał ich kościół św. Krzyża, którym się opiekowali ociegarze<sup>1)</sup>.

Obok cechów takich jak bednarski, powroźniczy i kowalski, silnie związane było z życiem kopalni także „Bractwo literackie Najsw. Marji Panny“, zwane także bractwem „matkobożańskim“, (*Frafernitaf literatorum B. V. Mariae*). Powstało ono w Bochni

---

1) Śl. Fischer: Losy kazimierzowskiej fundacji s. 12—14, 34—35.

w r. 1354<sup>1)</sup> i cieszyło się wielką powagą w mieście. Wkupywano się do niego całymi rodzinami, ażeby mieć udział w odpustach, nadanych jego członkom, i zapewnić sobie bezpłatny pogrzeb i miejsce na trumnę w grobowcu literackim (*Sepulchrum literarum*) w podziemiach bocheńskiej fary. Bractwo posiadało z zapisów ludzi pobożnych swoje role, działa górnicze w kopalni (*opera montana*), jatkę solną i cały szereg widerkafów, czyli zapisów hipotecznych na domach i gruntach. Procent od tych zahipotekowanych kwot wpływał do skrzynki bractwa. Otóż ci matkobożanie mieli do spółki z kowalami przywilej na t. zw. ostrzystwo t. zn. obowiązek codziennego ostrzenia kilofów, klinów i tym podobnych narzędzi, używanych przez górników w kopalni, i za to oczywiście otrzymywali z żupy zapłatę. Był to zarobek niezbyt wielki, a jednak obie korporacje żądrosnie broniły odnośnych swoich uprawnień i niejednokrotnie o ostrzystwo zacięte spory z sobą wiodły<sup>2)</sup>.

Dzięki żupom i ciągłemu napływowi do Bochni kupców i woźniców, przyjeżdżających po sól, rozwijał się pomyślnie także przemysł gospodni. Przy każdej ulicy wisiały tu i ówdzie nad bramami domów słomiane wiechy, znak, że w tym domu znajduje się gospoda, a w niej piwo i beczki solonych śledzi, które ówczesni mieszczanie za wielki smakołyk uważali. Było też już wtedy w Bochni kilka mieszczańskich browarów, a piwo bocheńskie miało pod koniec w. XIV tak dobrą markę, że wielkie jego ilości zakupywano nawet na dwór królewski<sup>3)</sup>. W gospodach wszystkie cechy bocheńskie odbywały swoje schadzki brackie, tam załatwiano handlowe transakcje i przy grze w kości obłuskiwano z zarobków przejezdnych woźniców i kupców. Gry i transakcje kończyły się niejednokrotnie bójkami, a że mieszczanie nosili przy sobie broń, więc nieraz krew się lała, a z gospód wynoszono rannych, a nieraz i trupy. Rzecz ciekawa, że między kilkudziesięciu nazwiskami bochnian, jakie się w aktach z kazimierzowskich czasów dochowały, znajdują się aż cztery nazwiska awanturników, których za zabójstwo przed sąd postawiono<sup>4)</sup>.

1) Tę datę podaje J. Ach. Kmita w dziełku: *Simbola officialium et officiorum famulorumque zuppae Bochnensis*. Crac. 1605. Być może, że jest to data zatwierdzenia bractwa przez pap. Innocentego VI.

2) *Acta consularia Bochn.* z w. XVI i XVII.

3) *Rachunki dworu kr. Wład. Jag. i kr. Jadwigi* s. 9, 10, 23 i t. d.

4) Mikołaj Puzmir, Piotr Melczko (Mleczko?), Hannusz Kuśnierz, Dobko (Najst. ks. m. Krak. s. 53 i 63).

Wydatne światło na ówczesne życie towarzyskie rzucają wiadomości o łaźniach miejskich. Udawano się do łaźni nie tylko poto, ażeby uczynić zadosyć wymaganiom higieny, albo szukać porady lekarskiej u doświadczonego łaźnienika: łaźnia było to coś nakształt kasyna, gdzie się gromadzono dla rozrywki i zabawy<sup>1)</sup>. Kupiec, któremu się udało korzystną transakcję zawrzeć, młodzieniec, który się żegnał z kawalerskim stanem, nawet naręczona w przeddzień ślubu, czy jakikolwiek inny solenizant, tam zapraszali gości i swoich druhów. Trzęsły się więc ściany łaźni od hucznych przyjęć i zabaw, których uczestnicy zależnie od stopnia swej zamożności rozłaczali większą, czy mniejszą wystawność, czy nawet przepych<sup>2)</sup>). W Bochni były łaźnie dwie: jedna „pańska“, druga więcej demokratyczna, robotnicza. W tej drugiej zebrania i zabawy były oczywiście skromniejsze, prostsze i tańsze, choć zapewne niemniej głośnie, niż w łaźni pańskiej. Z tej robotniczej łaźni korzystali także zadarmo studenci, a że to żywioł skłonny do figlów, więc już w średnich wiekach, może już za czasów Kazimierza wyszedł nakaz, że studenci w czasie kąpieli mają odmawiać przepisane modlitwy i śpiewać pobożne pieśni pod nadzorem i kierownictwem bakałarza.

\*                      \*

\*

Tak mogło wyglądać życie w Bochni w kazimierzowskich czasach. Było ono, jakżeśmy widzieli, silnie związane z żupą. Saliny wywarły swój wpływ na stosunki nie tylko społeczne i ekonomiczne w mieście, ale także kulturalne i religijne. Symbolem tego związku miasta z żupą stał się w kazimierzowskich czasach herb Bochni, o którego wyglądzie, jeszcze nieustalonym ostatecznie, dają nam wyobrażenie zachowane pieczęcie. Na jednej z nich z r. 1364, widzimy kilof, młot i łopatę z napisem w otoku: *Sigillum Civitatis de Bochna*<sup>3)</sup>). Już w r. 1365 pojawia się inny warjant, który powtarza się i w następnych wiekach często: młot i dwa kliny<sup>4)</sup>). Z r. 1368 pochodzi jeszcze bardziej uproszczony

1) Przem. Dąbkowski: Prawo łaźniane (Rozpr. Ak. Um. S. II t. XXXI s. 22).

2) P. Dąbkowski: op. cit. s. 23.

3) Kod. mog. LXXIX s. 66.

4) Ibid.

motyw: „duży kopacz górniczy tępy, na którego tronie są umieszczone dwie gwiazdki“<sup>1)</sup>). Wszystkie one symbolizują jedno i to samo: górniczą pracę, która bochnianom dawała chleb; wszystkie zdają się podkreślać przywiązanie Bochni do własnych podziemnych skarbów. Istotnie — mieszczaństwo drżało zawsze na myśl, że te skarby mogłyby się kiedyś wyczerpać.



---

<sup>1)</sup> W. Al. Maciejowski: *Piśmiennictwo polskie* I s. 614, przyp.



12. Rynek w Lipnicy Murowanéj.



## VI

**S**redniowieczne miasto, lokowane na prawie magdebur-  
skim, rozbudowywano stale według jednego i tego sa-  
mego planu. Ulice zbiegały się w rynku, zabudowanym  
w kwadrat, tworząc wraz z nim coś nakształt gwiazdy; miasto  
otaczano murem, a przynajmniej wałem i fosą, więc plan miasta,  
względnie jego śródmieścia, przedstawiał jakgdyby gwiazdę  
w kole, w której centrum, na środku rynku, wznoszono ratusz,  
jako siedzibę municypalnych władz. Takiego typowego planu  
trzymali się także założyciele Bochni, a trzymali się go tak ściśle,  
że wbrew wymaganiom terenu, w każdy narożnik rynkowego  
kwadratu po dwie ulice wprowadzili, tak jak to miało miejsce  
zwykle w miastach niemieckich, zbudowanych na terenie dość  
obszernym, a równym. Rzeczywistość zakpiła czasem z tego  
idealnego rozkładu ulic w Bochni. Ulica, biegnąca koło dzisiej-  
szego magistratu ku Uzborni, okazała się arterją martwą, a ulicę  
Sądecką od tego samego losu uchroniło to tylko, że czasem  
stała się łącznikiem między Bochnią, a odcinkiem węgiersko-  
polskiego traktu, przebiegającym tuż koło Bochni południowemi  
stokami Uzborni.

Zgodnie z rzeźbą terenu Bochnia nie mogła rozwinąć się  
promienisto, ale musiała przyjąć kształt wydłużony z południo-  
wego-zachodu ku północnemu-wschodowi. W tych też kierunkach,  
niby dalsze odrośle miasta, rozwinęły się z biegiem czasu przed-  
mieścia, na zachodzie przedmieście krakowskie, od północnego  
wschodu przedmieście św. Leonarda i Zawada. Czy te przed-  
mieścia istniały już za Kazimierza W., niewiadomo, bo naj-  
dawniejsze o nich wzmianki pochodzą dopiero z drugiej po-  
łowy XV w.

Bochnię, rozbudowaną na terenie nierównym i ścięsnioną  
dość wysoko wzniesionemi wzgórzami, trudno było związać

w jednolitą całość obronnym murem, ale pomimo trudności terenu, założyciele miasta, czy może dopiero ich następcy, mury te wzniesli, czyniąc widocznie zadość chyba tylko wskazaniom magdeburgskiego miejskiego prawa, bo chyba już dla nich musiało być jasne, że te mury nie zamienią Bochni w twierdzę. Wszak zgodnie z terenem musiały tu i ówdzie opadać nisko wdół, tu i ówdzie przedzierać się przez mokradła, a naodwrot na dość długich odcinkach miały tuż poza sobą wzgórza, znacznie przenożące wysokością ich blanki. Mury te niewątpliwie dodały miastu splendoru, ale żadnej ważniejszej roli w jego dziejach nie mogły odegrać, ani nie odegrały. Nigdy nie zatrzymały wroga, nigdy się bohaterską krwią mieszczan nie zczerwieńczyły. Nie miały też obronnych baszt i barbakanów, ani obronnych bram, bo te bramy, o których najdawniejsze księgi bocheńskie mówią, jak sądecka, tarnowska, krakowska i „trudna“, były najwyczejniejszymi wrotami. Jeżeli je nawet stróże miejscy przed nocą zamykali, to miało to chyba tylko znaczenie symboliczne, bo niekonserwowane mury wnet się stały ruiną i ze wszystkich stron dziurami i rozwaliskami można było poza okiem stróża nocnego do miasta się dostać.

W średniowiecznych miastach obowiązek obrony murów spadał na mieszczan, a w związku z tem każdy cech musiał być zarazem jakgdyby organizacją wojskową. Te cechowe organizacje odbywały od czasu do czasu t. zw. okazywania zbrojne czyli musztry. Jest rzeczą niewątpliwą, że takie wojskowe pogotowie mieszczańskie istniało pierwotnie także i w Bochni. Brak nam wprawdzie dokumentów, któreby bezpośrednio o tem mówiły, ale można tak wnosić z faktu, że jeszcze w XVI w. żyły w bocheńskim mieszczaństwie jakieś wojskowe tradycje. W każdym domu była jeszcze broń, miecze, dzidy i kolczaste kule żelazne, przymocowane łańcuchami do stylisk, a czasem nawet pancerze i hełmy, i długo przechował się zwyczaj, że mieszczanin bocheński, wychodząc z domu, szablę sobie przysywał do boku.

Ponieważ z dawnych murów nie dochowało się do naszych czasów nic, można zrekonstruować ich bieg już tylko w przybliżeniu na podstawie luźnych wzmianek, rozrzuconych tu i ówdzie w aktach miejskich, oraz dzisiejszego biegu niektórych ulic, charakterystycznie wygiętych. Większość odnośnych wzmianek w aktach radzieckich czy ławniczych pochodzi dopiero z XV i XVI w., jeżeli jednak chodzi o zawarte w nich wskazówki, do-

tyczące położenia murów miejskich, to te notatki przedstawiają dla nas niemal taką samą wartość, jakgdyby pochodziły z XIV w. Są to wzmianki, określające położenie niektórych domów, ogrodów, parcel. Pisarz miejski wymienia wtedy oczywiście ulicę, przy której odnośna realność leży, a bliżej określa jej położenie, zaznaczając, że dany dom czy ogród leży n. p. „przy ulicy Gołębiej za murem“, „pod murem przy ulicy Sandeckiej“, „za murem miejskim, tuż nad wójtowskim stawem“, albo „na rynku górnym, blisko bramy krakowskiej“, „przy ulicy Trędownych tuż obok bramy tarnowskiej“<sup>1)</sup> i t. d. Wykorzystując te luźne wzmianki możemy ustalić, że poczynając od zbiegu ulicy Szewskiej (dziś Kraszewskiego) z ulicą Trudną (dziś ul. Kościuszki), szły te bocheńskie mury wzdłuż Babicy aż mniej więcej po dzisiejszy plac Turka, potem zwracały się ku północnemu-wschodowi i oddzielając przedmieście krakowskie od miasta, dochodziły do bramy krakowskiej, która wznosiła się w tym miejscu, gdzie się schodzi dziś ulica Biała z Krakowską. Charakterystyczne wygięcie uliczki Złodziejskiej<sup>2)</sup>, pochodzi stąd, że bieg jej poddał się z konieczności łukowatemu wygięciu murów. W dalszym ciągu przebiegał miejski mur między dzisiejszym gmachem gimnazjum, a szkołą im. Brodzińskiego, poczem wzdłuż ulicy Gołębiej dochodził do plant i na ich terenie łączył się z kompleksem budynków salinarnych, które, osobnym otoczone murem, tworzyły w stosunku do miasta jakgdyby warownię w warowni. Poza żupą była brama tarnowska, zamykająca ulicę Kowalską. W dalszym ciągu biegł mur wzdłuż potoku Storynki, i oddzielając późniejszą dzielnicę żydowską od dzielnicy trędownych, leżącej już poza miastem, dochodził do ulicy Trudnej.

W takim obrębie zamykało się miasto właściwe. Poza murami pozostawały prócz obu przedmieść nieliczne domy, leżące poza Babicą, oraz cała ulica Świętokrzyska. Cały teren dzisiejszych nowych plant, wzdłuż Storynki i ulicy Orackiej, musiał być w owych czasach nieprzerwanym wieńcem moczarów i stawisk.

---

1) „in platea Golembia post murum“ (r. 1554); „domuncula sub muro in platea Rosarum sita“ (r. 1599); „sub muro in platea Sandecensi“ (r. 1595); „hortus, dictus Sternakowski..... extra murum supra stagnum Advocati (r. 1625); „in circulo superiori..... prope valvam Cracoviensem“ (r. 1493); „domus providi Martini Pokusek in platea leprosorum penes valvam Tarnoviensem sita“ (r. 1492) i t. d.

2) Łączy ulicę Białą z Różaną.

Jeżeli się weźmie pod uwagę, że ulica Świętokrzyska, leżąca już poza murami miasta, istniała już w XIV w., a wszystkie inne ulice, leżące w obrębie murów, wymieniane są w dokumentach i aktach miejskich z XV w., można przyjąć, że cały zrąb miasta ze wszystkimi głównymi ulicami był już za Kazimierza W. ustalony. O ile chodzi o jego część, zamkniętą niegdyś murami, dotrwał też bez większych zmian aż do dzisiejszego dnia rozkład ulic wraz z całym szeregiem średniowiecznych nazw, jak ul. Gołębia, Biała, Różana, Szewska i Kowalska. Wszystkie one są wymieniane już w XV w. Inne nazwy z biegiem czasu zmieniono. Ulica Balicka stała się Żydowską już w XV w. Ulicę Piekarską, Trudną i kilka innych przemianowano w ostatnich czasach. Inne nazwy ulic śródmieścia pochodzą dopiero z XVI, względnie XVII w., jak n. p. nazwa ulicy Floreńskiej (Floris), ulicy Klasztornej (między Sądem, a dawnym dominikańskim gmachem), ulicy Orackiej. Niektóre ulice kilkakrotnie zmieniały swoje nazwy, jak n. p. ulica, idąca z pod kościoła w stronę kazimierzowskiego szpitala, która niegdyś nazywała się Bernardyńską, potem Konarskiego, a dziś nosi nazwę Marszałka Piłsudskiego.

Centrum miasta, a zarazem ognisko jego ruchu stanowił oczywiście rynek dolny, oraz odcinki ulic, okalających kościół i cmentarz św. Mikołaja. Do najruchliwszych punktów należał także plac, okalający szyb Sutoris. Tam stało zawsze najwięcej wozów kupieckich, czekających na ładunek soli. W przyległych domach wszędzie szynki i izby gościnne z noclegami.

Na środku rynku stał gotycki ratusz, podparty wysokimi szkarpami (*fulcimenta murata*), z wieżą, wysterczającą wysoko ponad attykę. Jak wyglądał w szczegółach, o tem tylko próżne snuć można domysły, i chyba tylko przez porównanie z innymi ratuszami, jak n. p. z tarnowskim, można sobie w przybliżeniu wygląd jego odtworzyć. Ratusz był siedzibą władz municypalnych, a więc rady i ławniczego sądu, pod nim był kabał, czyli więzienie miejskie. Przed ratuszem na rynku odbywały się zgromadzenia sławetnego pospólstwa, dzwonem ratuszowym na narady przyzywanego. Tam przed ratuszem stał pręgierz, do którego przywiązani złoczyńcy *coram publico* chłostę odbierali z rąk kęsa. Tam kał ścinał zbrodniarzy, tam wreszcie później w w. XVI i XVII palono na stosie od czasu do czasu czarownice i świętokradców. Tuż koło pręgierza przy ratuszu sterczał wysoki drewniany krzyż, a nieco dalej wysoka żerdź, na której zawieszony kapelusz

oznaczał czas trwania targu<sup>1)</sup>. Najdawniejsza wzmianka o takim drażu i kapeluszu pochodzi wprawdzie dopiero z r. 1396<sup>2)</sup>, ale zestawienie tego szczegółu ze zwyczajami targowemi, ustalonymi w Krakowie już w w. XIV, pozwala nam szczególnie ten śmiało przenieść w czasy kazimierzowskie. Ratusz był oblepiony dookoła, jak niegdyś krakowskie sukiennice, mnóstwem drewnianych przybudówek, szop i kramów. Nawet pod schodami, wiodącymi do drzwi ratusza, były piwniczki, które wydzierżawiano przekupniom. Tuż obok stały drewniane stajnie miejskie, a dalej sznury jatek rzeźniczych, powroźniczych i solnych. Być może, że pod ratuszem była w średnich wiekach piwiarnia, jak to miało miejsce w Krakowie i innych średniowiecznych miastach. Zdają się o tem świadczyć obszerne sklepione piwnice, dobrze zachowane do dzisiejszego dnia, które się ciągną z rynku aż po pod gmach Starostwa. Na rynku skupiała się znaczna część handlowego ruchu Bochni. Tam też w podcienistych domach i kamienicach musiały się mieścić owe składy miedzi, żelaza, wina i innych węgierskich towarów, któremi bocheńskie kupiectwo tak skutecznie przez dłuższy czas konkurowało z kupcami krakowskimi. A musiały być te składy zaopatrzone w w. XIV niewątpliwie w najróżnorodniejszy a dobry towar, kiedy dwór królewski w czasie pobytu swego w Niepołomicach tutaj zaopatrywał się we wszystkie potrzebne artykuły<sup>3)</sup>.

Na ulicach, jak niemal we wszystkich średniowiecznych miastach, wieczyste błoto i roztopy<sup>4)</sup>, które miały przysłowiową sławę, szeroko rozniesioną po kraju przez kupców i woźniców, którzy do Bochni przybywali po sól. Nawet literatura wie o tem bocheńskim błocie, bo już autor „Wyprawy plebańskiej Albertusa na wojnę w 1596 r.“, ze zrozumiałym przekąsem o niem nam opowiada. Łatwo sobie wyobrazić, że w XIV w. w złotych kazimierzowskich czasach nie było pod tym względem

---

1) cf. Handel Krakowa s. 188.

2) H. Machnicki: Z przeszłości miasta Bochni s. 21.

3) Rachunki dworu króla Wład. Jagiełły i królowej Jadwigi, *passim*.

4) (J. Płaśnik: Studja nad patrycjatem krakowskim cz. II) Roczn. krak. XVI s. 40. Ze środkowo europejskich miast najwcześniej bruki otrzymuje Praga, bo w roku 1331 (Ibidem). Kraków według Szujskiego ma już w r. 1362 brukarzy, a rachunki krakowskie świadczą, że w ostatnich latach XIV w. corocznie jakieś kwoty na naprawę bruków przeznaczano. (Najst. księgi i rach. m. Krakowa s. LI).

lepiej. Są wprawdzie ślady, że już w XIV w. dokładano starań, żeby te drogi do jakiegoś możliwego stanu doprowadzić, ale walka z błotem, zwłaszcza na takim bagnistym terenie, na jakim leżała cała północno-wschodnia część Bochni, była czemś zgoła beznadziejnym. W bagna przy ulicy Szewskiej i Trudnej zatopiono z biegiem wieków setki tysięcy palów<sup>1)</sup>, ale każdą taką świeżo narzuconą warstwę, po przejściu kilkuset ciężkich wozów, pokrywało znowu bagno i na nowo trzeba było drogę naprawiać. W czasie przeprowadzania kanalizacji przed dwudziestu kilku laty natrafiono na te pokłady belek w głębokości pięciu metrów poniżej dzisiejszych bruków. Daje to wyobrazenie, jak nisko była położona cała ta część miasta, dzielnica żydów i trędowatych. Licznymi *dżdżownicami* ściekały w to zagłębienie po każdym deszczu strugi wody, tam też szukały dla siebie ujścia nieczystości, spływające z ulicy Szewskiej, od żupnych zabudowań, z ulicy Kowalskiej i z Solnej Góry, o co w następnych wiekach wielokrotnie żydzi skargi przed radę miejską wnoszą. Była to wprost zatruta część miasta, to też ilekroć zaraza nawiedzała Bochnię, tam, w gęstwinie domów, zbudowanych na bagnach, najgęstsze wybierała pogłównie. W czasach Kazimierza W. przechodziły przez Polskę zarazy kilkakrotnie<sup>2)</sup>. Nie mamy bezpośrednich wiadomości, jakie spustoszenia wyrządziły one w Bochni, ale na podstawie danych, dotyczących innych miast<sup>3)</sup> łatwo sobie wyobrazić, że po ich przejściu także w Bochni domy w całych ulicach stały pustką.

Nie grzeszył zresztą czystością ani rynek, ani wychodzące z niego ulice, gdyż zwyczajem ówczesnym nieczystości ze wszystkich domów i stajen spływały do rynsztoków ulicznych i rozlewały się w bajora, przez które przejście umożliwiały deski, leżące na poprzecznych kobylicach. Wysterczające z błota tu i ówdzie kamienie ułatwiały przeprawę na drugą stronę ulicy. W czasie posuchy zmieniały się te bajora w grube pokłady kurzu, który za lada podmuchem wiatru gryzącymi chmurami przesłaniał najruchliwsze punkty miasta. Pod tym względem nie

---

<sup>1)</sup> O brukowaniu ulic dylami cf. Studja nad patrycjatem II s. 40 i Szymański op. cit. s. 91.

<sup>2)</sup> W latach 1348, 1360, 1364.

<sup>3)</sup> Długosz: Historia t. III p. 231—232, 290; (Chronica Qliviensis) Mon. Pol. hist. t. V p. 344—348.

różniła się Bochnia od innych miast małopolskich, nie wyłączając Krakowa, a taki lichy stan ulic miał przetrwać jeszcze długo w miastach polskich.

Domy bocheńskich mieszczan były w XIV w. oczywiście przeważnie drewniane, a w ich oknach okiennice z małymi otworami, zaciągniętymi błoną, ale nie ulega wątpliwości, że już za Kazimierza W. zaczęły tu powstawać pierwsze patrycjuszowskie kamienice, bo trudno przypuścić, ażeby taki n. p. Paulinus Cavallo, tak bardzo zbliżony do króla i posiadający w Krakowie szereg okazałych domów, chciał tutaj w Bochni w czasie swych prac, związanych z zarządem żupy, mieszkać w domu, któryby swoim wyglądem raził jego gust, wykształcony na pięknie monumentalnych budowli włoskich. Jakżeby gościł króla, który tak często bywał jego gościem, a który tak silny nacisk kładł zarówno na zewnętrzny wygląd budynków<sup>1)</sup>, jak i na przepych wewnętrznego urządzenia. Trudno przypuścić, żeby bratanek Pawła, Peterlinus, który się tak związał z Bochnią, że nawet obywatelstwo bocheńskie przyjął i rajcą miejskim został, nie miał tu w Bochni domu, odpowiadającego jego bogactwom, stopie życiowej, potrzebom. A można przypuścić, że i inni patrycjusze, tacy n. p. Bochnerowie, albo wójt Gerard, starali się także o to, ażeby gust królewski, o ile chodzi o wygląd domów, w jak najwyższym stopniu zadowolić. Można przypuścić, że i panowie okoliczni, jak Kmita, Bąkowie z Brzezia, Jordanowie i inni, którzy się lubili pławić w blasku korony i dworu i wszędzie ciągnęli za królem, mieli tu już wtedy, jak i w wiekach następnych swoje dworzyszczka miejskie, jako chwilowe, a odpowiadające splendorowi ich imienia i herbów punkty oparcia. Więc należy przypuścić, że już wtedy murowanych kamienic był w Bochni cały szereg. Akta z XV w. mówią o cegielni bocheńskiej (*latericium*), a równocześnie Długosz wspomina o hucie szklanej w Rajbrocie. Zdaje się, że nie zgrzeszymy zbytnią śmiałością, jeżeli przyjmiemy, że już w czasach kazimierzowskich wypalano w Bochni cegłę, a szkło do okien sprowadzano z owej rajbrockiej huty. Zamek żupny musiał już wtedy istnieć i wprost narzuca się przypuszczenie, że nie kto inny, tylko ten wielki król, zgodnie z tradycją, był jego twórcą. W ślad za tem przypuszczeniem musi pójść drugie, że była to budowla murowana, a zapewne i okazała. Poza tym

---

<sup>1)</sup> Kod. m. Krak. I Nr. 32.

zamkiem, ratuszem i kilku czy kilkunastu kamienicami patrycjatu i szlachty, reszta — to były domki drewniane, tu i ówdzie pozlepiane ze sobą, tu i ówdzie rozsunięte i otoczone ogródkami. Mógła zatem Bochnia wyglądać w czasach kazimierzowskich tak, jak dziś jeszcze wygląda np. Lipnica murowana, Zakliczyn lub Lanckorona.





13. Lipnica Murowana. Szezałki murów obronnych.



## VII

**N**ajobszerniejszymi królewszczyznami ziemi bocheńskiej były dwie sąsiadujące z sobą puszcze: niepołomska i krzeczowska, które z ramienia króla zarządzali podrzędczowie (*viceprocuratores*). Były to prymitywne gospodarstwa leśne, w których gospodarka polegała na wycinaniu na brzegach lasów, a zwłaszcza w częściach puszczy, leżących tuż nad Wisłą, bardziej poszukiwanych gatunków drzewa, zwłaszcza dębiny, a może cisów<sup>1)</sup>, które następnie spławiano Wisłą w stronę Torunia i Gdańska. Być może, że już w kazimierzowskich czasach puszcza dostarczała także obu żupom krakowskim pali drzewnych na podstemplowywanie kopalnianych chodników<sup>2)</sup>, ale bezpośrednich świadectw na to nie mamy żadnych. W dębinach niepołomickich, w częściach puszczy sąsiadujących z ludzkimi osadami, wypasano całe stada świń, które dopiero w jesieni spędzano z powrotem do obór<sup>3)</sup>. Kwitnęło też w puszczy bartnictwo, jak o tym świadczą choćby nazwy sąsiadujących z nią dwóch wsi: Miodary (dziś Niedary) i Barcików (dziś Barczków)<sup>4)</sup>. Tu i ówdzie na kresach lasów wypalano smołę (Kłaj). A jednak choć dochodowość niepołomickiej puszczy, jak się zdaje, nie była jeszcze zbyt wielka, cenili ją niepomiernie Kazimierz Wielki jako niezrównany teren myśliwski, pełen królewskiego zwierz, a tem cenniejszy, że tak bliski stolicy. Istotnie mogła ta puszcza zaspokoić najwybredniejsze wymagania łowców. Na polanach leśnych wypasały się całe stada jeleni i turów, w mrocznych ostępach wśród bagien i rozlewisk potoków leśnych żerował łoś,

1) Kutrzeba: Handel Krakowa s. 25.

2) Słownik geograficzny (Niepołomice).

3) Star. prawa pol. pomn. II passim.

4) Z. Daszyńska-Golińska: Uście Solne s. 111.

a na jeziorach „olszowem“ „węzowem“ i „chrojskiem“<sup>1)</sup> bobry budowały żeremia. To też raz po raz królewski myśliwski orszak nawiedzał te uroczyska, głos myśliwskiego rogu i wrzask psiarni przenikał puszcze, a bujna natura Kazimierza W. wyładowywała z rozkoszą swoje siły w pościgu za jeleniem lub turem. Tę rozkoszną knieję chciał mieć król w całości wyłącznie dla siebie, ponieważ zaś niektóre jej części były jeszcze wtedy własnością rycerzy, względnie klasztorów, a tu i ówdzie grunty ich wciskały się klinami nawet w głąb królewszczyzny, postanowił król drogą wykupna względnie zamiany nabyć te cudze części, przyłączyć do podrzętwa i w ten sposób całość królewszczyzny zao krąglić. Przedewszystkiem nabył Niepołomice-wieś od rycerza Wojysława herbu Osmoróg, właściciela szerokich posiadłości nad Wisłą i zameczku w Grobli<sup>2)</sup>. Od premonstratenzów brzeskich nabył w 1360 r. drogą zamiany część Miodarów<sup>3)</sup>, a zakonnicom staniąleckim według twierdzenia Długosza wprost bezceremonjalnie zabrał Chrośc<sup>4)</sup>. Być może, że i inne wsie sąsiadujące z puszcą, a wymieniane przez Długosza jako królewskie, także już przez Kazimierza W. przyłączone zostały do Niepołomic.

Do zameczku myśliwskiego, który sobie w sercu puszczy, w Niepołomicach, wybudował, zjeżdżał król w okresie polowań na szeregi dni i tygodni, żeby zaś nie przerywać urzędowych czynności, zabierał z sobą prócz myśliwskiego orszaku także urzędników kancelaryjnych, i z Niepołomic rozsyłał na wszystkie strony królewskie rozporządzenia. Na niejednym z jego ówczesnych przywilejów jest nawet wyraźnie zaznaczone, że dokument ten został wydany w czasie, kiedy król w Niepołomicach dla polowania bawił<sup>5)</sup>. Królewskie przyjazdy powtarzały się tak często, a pobyt jego w tej królewszczyźnie przeciągał się niekiedy tak długo, że w jednym z dokumentów z 1358 r. kustosz katedry krakowskiej, Mikołaj, urażony na króla, z przekąsem stwierdza że nie może swobodnie ściągać należących sobie z Niepołomic dziesięcin z powodu ustawicznych przyjazdów króla<sup>6)</sup>. Ta skarga

---

1) W pobliżu wsi zwanej Chrośc.

2) Paprocki: Herby rycerstwa (za Długoszem) s. 339.

3) Kod. kat. krak. I s. 277.

4) Lib. ben. III s. 285.

5) „dum in Niepołomice nostrae venationis (causa) personaliter fueramus constituti“ — Kod. m. pol. I s. 332.

6) Kod. kat. krak. I s. 276.

kustosza Mikołaja znaczyła nie co innego, tylko to, że król wogóle nie pozwolił mu rzeczonych dziesięcin ściągać, gdyż je przeznaczył na rzecz ufundowanego przez siebie w Niepołomicach właśnie w tym czasie kościoła pod wezwaniem 10.000 męczenników. Odnośny dokument erekcyjny wystawiony został 4 października 1358 r.<sup>1)</sup> Konsekracji kościoła dokonał tegoż samego roku jeszcze arcybiskup gnieźnieński Jarosław Bogorja<sup>2)</sup>, ale myśl założenia parafji w Niepołomicach zrodziła się podobno jeszcze dawniej, bo w 1349 r.<sup>3)</sup>.

Pierwszemu proboszczowi niepołomickiemu, księdzu Pełce, i jego następcom przyznał król pewne dochody z bocheńskiej żupy, mianowicie w każdym kwartale kamień łoju i kamień wosku oraz tygodniową pensję solną<sup>4)</sup>. W skład uposażenia wchodziły pewnie także jakieś grunta, oraz przywilej na pobór drzewa z królewskich lasów, równocześnie jednak chciał król pociągnąć do udziału w utrzymaniu kościoła i proboszcza także i te czynniki, którym na powstaniu nowej placówki kościelnej przede wszystkim zależeć winno. Swoim zwyczajem załatwił rzecz w krótkiej drodze. Poprostu odebrał dziesięciny z Niepołomic kustoszowi katedralnemu i nadał je po wieczne czasy proboszczom niepołomickim. Wywołało to oczywiście nowy zatarg z biskupem<sup>5)</sup>, ale król utrzymał się przy swoim postanowieniu, a kustosza Mikołaja wynagrodził biskup Bodzanta własnymi dziesięcinami z dwóch wsi, sąsiadujących z wiśnickim zamkiem, Kobyla i Rogozia<sup>6)</sup>.

Kazimierzowski kościół w Niepołomicach istnieje dotąd i swoją dostojną architekturą, podobnie jak kościół w Łapczycy, daje dziwnie chlubne świadectwo królowi, który w każdą swoją budowlę, wielką czy małą, przeznaczoną dla Krakowa, czy choćby dla jakiejś prowincjonalnej wsi, wkładał całą swą duszę i zawsze z pożytkiem starał się łączyć piękno.

---

1) Kod. pol. III s. 255—257.

2) Słownik geograficzny (Niepołomice).

3) Ibidem.

4) Odnośne nadania z żupy boch. wymieniane były stale między t. zw. „sallaria perpetua”. cf. Ulanoswki: Libri formularum saec. XV w. s. 78—79.

5) cf. J. Dąbrowski: Dzieje Polski średniow. II s. 130.

6) Kod. kat. krak. I s. 276; Lib. ben I s. 95. Na miejscu nieistniejącego dziś Rogozia wyrosło w XVII w. miasteczko Nowy Wiśnicz.

Podręczczym niepołomickim powierzał król opiekę nad królewską czynną prawdopodobnie w formie, która się nazywała oddaniem do rąk wiernych (*ad fideles manus*), co polegało na tem, że podręczczy musiał się królowi wyliczyć ze wszystkich dochodów z królewskiej czynnej z tem oczywiście, że pewna część dochodów dostawała się jemu jako wynagrodzenie za pracę i zwrot kosztów, wyłożonych na administrację. Dochody mogły płynąć z wyřębu drzewa, z wydzierzawianego chłopom prawa wybierania barci, z udzielania pozwoleń na wypasanie w królewskich lasach świń i bydła, wreszcie z kar, nakładanych na tych, którzy królewską czynną w czemśkolwiek naruszili<sup>1)</sup>. Nie dość ściśle określenie uprawnień dało jednak podręczczym szerokie pole do nadużyć i było zarzewiem licznych skarg i sporów, które Kazimierz W. nieraz osobiście rozstrzygał. Kiedy n. p. w r. 1365 dziedzic Gawłowa nad Rabą, Leonard, wniósł do króla skargę, że podręczczy ze swymi ludźmi nachodzi granicę jego posiadłości i bezprawnie usiłuje jakieś części Gawłowa na rzecz królewskiej czynnej zabrać, Kazimierz W. w otoczeniu dygnitarzy osobiście obszedł granicę wsi, ażeby na miejscu spór rozstrzygnąć. Przyzwani i zaprzysiężeni starzy kmiecie wiedli króla wzdłuż potoczków i drożyn polnych, wskazywali na jezioro Święte, i jezioro Ług, na stare kopce i dęby i stare drewniane krzyże, jako na odwieczną granicę wsi. Na dzisiejszej mapie byłoby oczywiście niezmiernie trudno odtworzyć to małe królewskie itinerarium. Zmienił się w wielu miejscach bieg Raby, wyschło i zniknęło bez śladu jezioro Ług, zatarły się graniczne kopce, i chyba tylko jezioro Święte, którego resztką zachowała się do dnia dzisiejszego w niewielkim stawku tej samej nazwy w pobliżu granicy Krzyżanowic, możnaby uznać za punkt wyjścia w jakichś terenowych poszukiwaniach. Kazimierz W. przyznał zupełną słusność dziedzicowi Gawłowa, wzbronił podręczczemu wszelkich napaści na gawłowskie terytorjum, nakazując mu równocześnie w sprawie tej *wieczyste milczenie*. W odnośnym przywileju przyznaje Leonardowi król pełną swobodę korzystania z gawłowskich lasów, z polowania, z wyřębu drzewa, wypasania świń, łowienia ryb w jeziorach i wybierania barci, a nadto w uwzględnieniu usług, jakie Leonard jemu i jeszcze Łokietkowi

<sup>1)</sup> cf. J. Dąbrowski: Dzieje średn. Polski II s. 125—126 i St. Kutrzeba: Starostwa s. 285—289.



14. Kościół parafjalny w Lipnicy Murowanej.



wyświadczył, pozwala mu na gawłowskim terenie nową wieś na prawie magdeburskiem założyć i zarówno tę przyszłą osadę, jak i Gawłów uwalnia od sądowej zależności od wszystkich królewskich urzędników<sup>1)</sup>). Czy Leonard z prawa założenia nowej osady skorzystał, niewiadomo.

\*

\*

\*

---

<sup>1)</sup> Kod. mpol. I s. 332—334.

**P**o obu brzegach dolnej Raby, rozsiadł się szereg prastarych rycerskich wsi, jak Krzyżanowice, Majkowice, Mikłuszowice, Dziewin, Wyżyce, a na wschód od nich rozciągała się druga królewszczyzna leśna z siedzibą podrzędztwa w Krzeczowie. Była to w w. XIV ogromna zapuszczona knieja, pełna bagnisk i potoków, rozlewających się tu i ówdzie w obszerne jeziorzyska. Puszcza była otoczona wieńcem królewskich i rycerskich wsi, natomiast w jej obrębie nie było ani jednej osady ludzkiej. Król, żądny myśliwskich wrażeń, także w Krzeczowie od czasu do czasu bawił i stąd urządzał myśliwskie ekskursje w głąb puszczy. Podobno także jakieś erotyczne przeżycia łączyły go z tym ustronnym zakątkiem<sup>1)</sup>, ale mimo tych wszystkich ponęt, stosunek Kazimierza do krzeczowskich ostępów leśnych był inny, niż do niepołomickiej puszczy. Podczas gdy tamtą chciał zachować nietkniętą, jakby jakiś rezerwat leśny, i radby był z niej usunąć nawet najdrobniejsze osady ludzkie, puszcze krzeczowską postanowił skolonizować. Początkiem kolonizacyjnej akcji miało tu być założenie trzech nowych wsi, Rzezawy, Jodłówki i Borku. Wszystkie trzy powstały też mniej więcej równocześnie, ale z odnośnych przywilejów zachował się tylko jeden, mianowicie przywilej lokacyjny wsi Borku, wydany 10 lutego 1350 r.<sup>2)</sup>. Przywilejem tym poleca król Maciejowi, synowi Dobromysła, założyć na 30 łanach nad rzeczką Wydrzyną w głębi puszczy wieś Borek, w nagrodę za co nadaje mu z góry sołtystwo w mającej powstać osadzie. Sołtysowi przyznaje Kazimierz W. trzy łany ziemi w obrębie wsi, z prawem rozszerzenia tej darowizny drogą karczunku sąsiednich lasów. Sołtys założy we wsi karcznię, na rzece Wydrzynie zbuduje młyn i założy dwa stawy rybne, urządzi wreszcie w Borku ławę szewską, piekarską i rzeźniczą. Sołtys i kmiecie wolni będą przez lat 20 od wszelkich powinności i opłat na rzecz króla. Po upływie tych wolnych lat sołtys obowiązany będzie służyć królowi z oddziałem swoich łuczników. Tym samym przywilejem polecił król sołtysowi zbudować w Borku kościół. Z szerokości nadania, oraz z planu utworzenia w Borku parafji można wnosić, że Kazimierz W. chciał z tej nowej osady uczynić ognisko życia ekonomicznego i kulturalnego całej okolicy, ale tego samego roku jeszcze zmienił częściowo swój plan

1) Długosz: Hist. Pol. III p. 235.

2) Kod. mpol. t. I s. 272, 273.

i zamiast w Borku poleca zbudować kościół pod wezwaniem Wszystkich Świętych w nowo-powstałej Rzezawie. Wykonawcą polecenia miał być ten sam Maciej, syn Dobromysła. Przywilej erekcyjny z 26 maja 1350 r.<sup>1)</sup> zachował się do naszych czasów i świadczy, jak hojną miał rękę król, o ile chodziło o erekcję nowych kościołów i parafij. Kościołowi rzezawskiemu i jego proboszczom nadaje Kazimierz W. trzy łany ziemi w Rzezawie, wolne od wszelkich opłat i powinności, oraz czwarty łan we wsi Borku. Nadaje mu dalej dziesięciny ze wszystkich królewskich gruntów ornych w Krzeczowie, Ostrowie i Wrzępi, oraz wszystkie dziesięciny kmiece z wsi i osad, które na terytorjum królewszczyzny powstaną. Każdy kmieć będzie musiał nadto na rzecz kościoła składać w dniu św. Marcina przewidzianą z góry drobną kwotę pieniężną. Pleban otrzymuje wreszcie na własność dwie karczmy, zbudowane na t. zw. nawsiu<sup>2)</sup>, t. zn. w środku placu, powstałego w obrębie rozbudowanych w półkole kmiecych chał. Na swoich czterech łanach będzie mógł pleban osadzać w dowolnej liczbie kmieci i zagrodników. Ludzie ci w sprawach karnych będą wprawdzie podlegli, podobnie jak i wszyscy inni rzezawscy kmiecie, własnemu sądowi ławniczemu, ale płacone przez nich sądowe kary będą wpływały do plebańskiej kasy. Podobnie od każdej przysięgi, składanej przez strony wobec sądu, po jednym groszu będzie otrzymywał proboszcz na wino potrzebne do Mszy. Przywilej rzezawski świadczy, jak hojną rękę miał król, kiedy chodziło o nowy jakiś kościół, którego potrzebę jako warunek powstania nowej parafji uznawał. Współpraca sołtysa Macieja nie stała jednak na wysokości królewskiego nadania, a i proboszczowie rzezawscy widocznie nie chcieli zbyt wielkich ekspensów na kościół łożyć. Kościół rzezawski był przez całe wieki najprostsza świątynką z drzewa.

\*

\*

\*

---

1) Kod. mpol. I s. 274, 275.

2) cf. K. Połkański: Pisma pośm. t. I s. 188.

**T**rzecią większą królewsczyzną w ziemi bocheńskiej był klucz lipnicki, do którego prócz trzech Lipnic należał Rajbroń, Borowna, Królówka, Cichawa oraz Siedlec nad Rabą<sup>1)</sup>. Źródła historyczne nie przekazały nam żadnych wiadomości, któreby wyraźnie wskazywały na jakieś prace Kazimierza, na tym terenie dokonane. Jeżeli się jednak zważy, z jaką troską odnosił się do królewsczyzny niepołomickiej i krzeczowskiej, jak starał się podnieść ich gospodarczą wartość, należy przypuścić, że i lipnickiego klucza nie pozostawił w zanedbaniu. Lipnicy murowanej już Łokietek nadał w r. 1326 prawo szredzkie<sup>2)</sup>. Musiało to być w czasach kazimierzowskich miasteczko pełne ruchu, zwłaszcza że przez nie przechodził węgierski trakt, tak bardzo wtedy ożywiony. Nic się wprawdzie nie słyszy w średnich wiekach o jakichś lipnickich targach, ale można przypuścić, że Lipnica była handlowym centrum dla całej południowej bocheńszczyzny. Jest też rzeczą prawdopodobną, że Kazimierz W., któremu na zabezpieczeniu węgierskiego traktu tak bardzo zależało, otoczył to miasto murem. Nieznaczące resztki murów zachowały się do dzisiejszego dnia. Niewiadomo, kto zbudował lipnicki kościół farny<sup>3)</sup>, ale wprost narzuca się pytanie, czy i ta okazała budowla nie ma coś Kazimierzowi W. do zawdzięczenia. Drewniany kościółek św. Leonarda, którego początki tradycja lipnicka usiłuje przesunąć w przedkazimierzowskie czasy, w w. XIV prawdopodobnie jeszcze nie istniał. W każdym razie Długosz, który w swojej „Liber beneficiorum“ tak skrupulatnie wszystkie kościoły i kościółki djecezji krakowskiej wylicza, nie wspomina o kościółku św. Leonarda ani słowem.

\* \* \*

\*

---

1) Lib. ben. II s. 140, 165, 177. 178.

2) M. Buliński i T. Lipiński: Staroż. Polska II s. 201.

3) Schemat. cleri Tarnov. z r. 1879 s. 156. Murowany kościół parafjalny pod wezw. św. Andrzeja istniał już w czasach Długosza a kolatorem jego był król. Lib. ben. II s. 140.



15. Z Obchodu kazimierzowskiego w Bochni w dniu 17 września 1933 r.



**B**ok królewszczyzn i wymienionych już większych i mniejszych posiadłości rycerskich znaczną część bocheńszczyzny zajmowały dobra klasztorne. Kanonicy regularni *de Poenitentia Beatorum Martyrum* posiadali z nadania spadkobierców Wizona i Dzierżykraj, dziedziców Niegowici, Trzcianę z kilku okolicznymi wsiami<sup>1)</sup>. Do benedyktynów tynieckich należała Łapczyca, Kojanów (dziś Kolanów) i Pogwizdów<sup>2)</sup>. Premonstratenzi brzescy posiadali Drwinię i Niedary<sup>3)</sup>. Cystersi wąchoccy Dołuszyce i Olchawę<sup>4)</sup>. Do stróżów Grobu Chrystusowego, zwanych bożogrobkami albo miechowitami, należały cztery nadrabskie wsie: Chełm, Moszczenica, Targowisko i Mszczecin<sup>5)</sup>. Benedyktynki w Staniątkach posiadały w bocheńszczyźnie 15 wsi: Staniątka, Podłęże, Szczytniki, Chrość, Górkę (koło Staniątek), część Kłaja, Łęzkowice, Łopiankę, Nieszkowice, Brzeźnicę, Gorzków, Łazy, Uszew i Wiśnicz<sup>6)</sup>. Nieszkowice nabyły zakonnice w r. 1367 od Kazimierza W. za 120 grzywien<sup>7)</sup>. Wiśnicz przeszedł w połowie XIV w. zapewne drogą sprzedaży w ręce Kmitów<sup>8)</sup>.

Jaki był stosunek Kazimierza W. do tych klasztornych dóbr i ich właścicieli? Na podstawie choćby przelotnego rozglądnięcia się w materiale historycznym można stwierdzić, że Kazimierz W. chętnie popierał gospodarczą działalność klasztorów, natomiast niechętnem okiem patrzył na klasztorne wsie, świecące ugorami i pustką, bezładne i wyniszczone. Pragnął widzieć wszędzie ruch i życie, więc zgodnie ze swoim gospodarczym planem nadawał przywileje na przenoszenie wsi klasztornych na prawo niemieckie benedyktynkom staniąteckim<sup>9)</sup>, benedyktynom tynieckim<sup>10)</sup>, cystersom wąchockim<sup>11)</sup> i bożogrobcom<sup>12)</sup> i gotów był popierać

1) Kod. kat. krak. I s. 85—88.

2) Lib. ben. III s. 195—196.

3) Kod. m. pol. III s. 245; IV s. 384; Kod. kat. krak. I s. 277.

4) Lib. ben. III s. 405—406.

5) Lib. ben. III s. 8—11.

6) B. Ulanowski: O założeniu i uposażeniu klasztoru benedyktynek w Staniątkach.

7) Kod. tyn. Nr. 99.

8) Ulanowski s. 117.

9) Kod. m. pol. III s. 303.

10) Kod. tyniecki (wyd. z r. 1871) s. 75, 99—100, 104—105

11) Kod. m. pol. III s. 177.

12) Ibid. s. 93—94.

nawet takie gospodarcze wysiłki opatów, jak poszukiwanie soli<sup>1)</sup>. Radby był widział, że klasztory wnoszą coś w życie ekonomiczne kraju i współpracują z innymi czynnikami nad jego gospodarczym odrodzeniem. Ale tych wysiłków ze strony klasztorów było niewiele i tem się tłumaczą niewątpliwie pewne pociągnięcia Kazimierza, nacechowane jakąś dla klasztorów niechęcią. Jednym z typowych przykładów odnośnej jego polityki jest przyjęcie pod swój osobisty zarząd i opiekę kilku wsi, należących do cystersów wąchockich, a wyniszczonych i leżących odłogiem już od szeregu lat<sup>2)</sup>. Przejęcie dokonało się niby na prośbę opata, a zastosowaną tu formą prawną była dożywotnia dzierżawa. Nie ulega wątpliwości, że cystersi zgodzili się na tę transakcję, ustępując jedynie silnemu naciskowi króla, bo taka dożywotnia dzierżawa mogła się łatwo skończyć prosto wywłaszczeniem. Istotnie z czterech wsi, o których w odnośnym dokumencie jest mowa, tylko jedną wymienia potem Długosz w spisie posiadłości klasztoru<sup>3)</sup>. Pozostałe trzy prawdopodobnie w jego posiadanie nie wróciły. Wsie te nie leżały wprawdzie w ziemi bocheńskiej, ale cytujemy ten fakt, bo on nam wyjaśni analogiczne momenty w stosunku króla do bożogrobców nadrabskich. Dzieje ich posiadłości w Bocheńszczyźnie przedstawimy nieco dokładniej, gdyż one na całą politykę króla wobec klasztorów wydatne rzucają światło.

\*                      \*

.

\*

Do uposażenia kanoników regularnych, stróżów Grobu Chrystusowego, zwanych krótko bożogrobcami albo miechowitami<sup>4)</sup>, należały w ziemi bocheńskiej cztery wsie, mianowicie Chełm, Targowisko, Moszczenica i Mszczęcin, które bożogrobcom darował jeszcze w połowie XII w. komes Mikora herbu Gryf<sup>5)</sup>. Wsie te stanowiły zaledwie częśćkę ogromnych posiadłości klasztoru, ale częśćka ta była cenna, gdyż zarówno korzystne

1) Kod. tyński s. 76.

2) Kod. m. pol. III s. 221—222.

3) Lib. ben. III s. 408.

4) Zakonników tych sprowadził do Polski jeszcze w 1143 r. Jaksza z Miechowa h. Gryf i nadał im Miechów z okolicznymi wsiami. Stąd ich popularna nazwa miechowici.

5) Kod. m. pol. II s. 13—15.

położenie chełmskiego klucza przy wielkiej węgierskiej drodze, jak i wysokie uposażenie proboszczów chełmskich, czyniły nadanie Mikory jakby perłą w skarbcu miechowskiego klasztoru. Dość wspomnieć, że prócz obszernych gruntów i rozlicznych dziesięcin, które bożogrobcy chełmscy zbierali z całego szeregu bliższych i dalszych wsi, otrzymali nadto od Bolesława Wstydlwego w 1260 r. przywilej na pobieranie myta na Rabie pod Chełmem od każdego przepływającego się przez rzekę wozu<sup>1)</sup>. Jeśli się zważy, że był to bardzo ożywiony szlak i sami bożogrobcy w 1349 r. zeznawali, że dochód z myta i sąsiedniej karczmy, zwanej Turek, przynosi im rocznie osiemnaście grzywien<sup>2)</sup>, przyczem niewątpliwie obliczali go jak najskromniej, to widać z tego że przywilej Bol. Wstydlwego nie był bynajmniej rzeczą drobną. Przywilej ten zatwierdził następnie Leszek Czarny, a Władysław Łokietek zwolnił nadto proboszczów chełmskich i ich poddanych od obowiązku płacenia myta na wszystkich drogach, którymby chcieli wieźć na sprzedaż jakieś swoje produkty, oraz od opłaty targowego w Bochni i innych miastach (*et alias*)<sup>3)</sup>. Ponieważ tylko jedną Bochnię imiennie król wymienił, widać stąd, że bożogrobcom chodziło w pierwszym rzędzie o swobody handlowe w tem mieście. W odnośnym przywileju napotykamy po raz pierwszy na wzmiankę o moście na Rabie, który bożogrobcy widocznie w międzyczasie wybudowali.

Także i Kazimierz W. zrazu okazywał bożogrobcom dużą życzliwość, bo nie tylko potwierdził im przywileje swych poprzedników, ale nadto uwolnił wszystkie posiadłości bożogrobców od zależności sądowej od wojewodów, kasztelanów, sędziów i podsędków, z tem, że poddani klasztorni odpowiadać będą za swoje winy jedynie przed sołtysami, ci zaś będą odpowiedzialni przed miechowskim prepozytem. Uwolnił wszystkie klasztorne wsie od opłat, ciężarów i powinności na rzecz króla i nadto przyznał prepozytom prawo lokowania na klasztornych gruntach nowych wsi na prawie magdeburskiem<sup>4)</sup>. Ten stosunek życzliwości Kazimierza W. do bożogrobców uległ jednak z biegiem czasu znacznej zmianie, a dotknęło to przedewszystkiem miecho-

1) Kod. mpol. II s. 113.

2) Kod. mpol. III s. 78.

3) Przywilej z 1331 r., v. Kod. mpol. II s. 277.

4) Kod. mpol. III s. 93—94.

witów chełmskich. Przyczyna niełaski królewskiej była taka: Gdzieś koło 1349 r., po przejściu przez Polskę „czarnej śmierci“, powziął Kazimierz W. myśl wzniesienia na Stradomiu pod Krakowem kościoła św. Jadwigi, a przy kościele wielkiego szpitala dla chorych. Ponieważ niechętnie patrzył na ogromne majątki klasztorne, z których społeczeństwo żadnego prawie pożytku nie miało, wszczął z bożogrobcami rokowania, żeby się osiedlili przy kościele św. Jadwigi i w przyległym do niego klasztorze, i wzięli na siebie ciężar utrzymywania szpitala. Chciał mianowicie, żeby się zrzekli Targowiska z przynależnościami na rzecz nowo powstającej fundacji. Bożogrobcy skłonni byli wprawdzie przyjąć królewską darowiznę w postaci kościoła i budynków klasztornych, natomiast nie chcieli się zgodzić na oderwanie Targowiska od całości klasztornych dóbr. Kiedy się rokowania rozbiły, Kazimierz W., oburzony na mnichów, skorzystał w osobliwy sposób z przysługującego mu prawa patronatu nad klasztorem i nasał bożogrobcom do Miechowa w 1360 r. własnego świeckiego zarządcę, który, jak twierdzi Nakielski<sup>1)</sup>, mocno się dał prepozytom i zakonnikom we znaki. Kazimierz W. nie poprzestał na tem, ale postanowił wprost zmusić bożogrobców do przyłożenia ręki do takiego ważnego dzieła, jakim było założenie powszechnego szpitala. Był to okres bodaj czy nie największego wzmożenia się twórczej energii króla, okres jego najwszechstronnej rozwiniętej działalności, a punktem szczytowym okresu był 1364 r. We wszystkich zakątkach Polski wrzała praca. Dziesiątki kościołów i zamków wysuwało już swoje wieże i baszty ponad miasta, nad wsie i lasy, dokoła dziesiątek miast kończono budować mury, a w Krakowie zakładał król akademię, która miała rozścierać kręgi światła na całą Polskę. Ale ten świetny rok pod ziemi horoskopami się zaczął. Opowiada Długosz, że już 11 marca pojawiła się na niebie kometa, która świetlanym ogonem przez pięć tygodni groziła ludzkości gniewem Bożym<sup>2)</sup>, Parę miesięcy później przyszedł głód, a z nim razem zaraza, która jak zwykle dziesiątkowała ludność miast i wsi. Król kazał wtedy otworzyć w różnych punktach kraju swoje spichrze i po umiarkowanej cenie wydawać głodnym zboże<sup>3)</sup>. Ale aktualną

1) S. Nakielski: *Miechovia sive promptuarium antiquitatum monasterii Miechoviensis* s. 281.

2) Nakielski *op. cit.* s. 285; Długosz: *Historia t. III* s. 290.

3) *Ibidem* s. 285.

stała się znowu sprawa szpitala, którego budowa wlokła się leniwo może dlatego właśnie, że król chciał bożogrobców wrzęgnąć do udziału w tem dziele, a ci, jak się już wyżej powiedziało, nie mieli ochoty wyzbywać się na rzecz królewskiej fundacji ani piędzi ziemi z zakonnego majątku. Więc w tymże samym roku (1364) skorzystał król znowu ze swojego prawa patronatu w sposób radykalny i dekretem z 21 maja wziął pod swój osobisty zarząd Targowisko, Mszczęcin oraz Nieszkową, leżącą już w Sądeczyźnie, wreszcie sołtysostwo w Targowisku, ażeby, jak się wyraził, gospodarkę w tych dobrach uporządkować i większe z nich korzyści wyciągnąć. Wprawdzie obiecuje bożogrobcom, że po jego śmierci otrzymają te wsie z powrotem, i że poza tem własnymi pieniędzmi wykupi i dla nich przeznaczy sołtystwa w dwóch innych wsiach klasztornych<sup>1)</sup>, ale było rzeczą jasną, że pragnie przejęte przez siebie wsie przekazać szpitalowi św. Jadwigi<sup>2)</sup>. Długosz stwierdza, że istotnie tak się stało, przy czem sekwestr królewski rozciąga na wszystkie nadrabskie posiadłości bożogrobców, oraz trzy wsie leżące w innych stronach<sup>3)</sup>. W jaki sposób uzyskał na to król zgodę prepozyta i zakonników, niewiadomo. Nakielski pisze, że tę zgodę na nich wymusił (*extorsit*), i z uczuciem nietajonej satysfakcji dodaje, że mimo to wszystko Kazimierz W. dzieła swego nie dokończył: umarł, kiedy kościół i szpital św. Jadwigi ledwie na wysokość dwóch sążni nad powierzchnię ziemi wyrósł. „Widocznie Bóg nie przyjął ofiary, którą chciał dać z *cudzego*... ponieważ nie godzi się, ażeby królowie swoim prywatnym autorytetem obalali dowolnie pobożne i do tego starożytne fundacje“<sup>4)</sup>. Zgodnie z tem stanowiskiem zaraz po śmierci Kazimierza centrala miechowska wszczęła starania o zwrot skonfiskowanych dóbr i Ludwik Węgierski przychylił się do jej próśb<sup>5)</sup>. Bożogrobcom widocznie jednak żal było palić za sobą wszystkie mosty i tracić taki cenny punkt oparcia, jakim mógł być dla nich w przyszłości kościół św. Jadwigi, więc zrzekli się na rzecz fundacji kazimierzowskiej jednej ze swoich wsi (Jugowice) i bez trudu uzyskali od królowej Elżbiety

1) Kod. mpol. III s. 176.

2) Nakielski: op. cit. s. 286.

3) Lib. ben. III s. 29—30.

4) Nakielski: op. cit. s. 275.

5) Lib. ben. III s. 30.

w 1375 r. intromisję do przeznaczonego dla nich kościoła, klasztoru i szpitala, z tem, że mają budowle te własnym kosztem wykończyć. Trzydzieści lat później prepozyt miechowski, Michał z Radomska (1395—1424), kupił w Bochni za 2000 grzywien, barkrecht, przynoszący tygodniowo *unam sexagenam*, i tym nabytkiem obdarował na wieczyste czasy kościół św. Jadwigi i utrzymywany przy nim szpital<sup>1)</sup>. Dokładnej daty tego zapisu niema. Stało się to według Nakielskiego „*circa haec tempora*“, t. j. około 1410 r.

Bożogrobców w Chełmie już dawno niema. W kilkakrotnych pożarach tamtejszego kościoła uległo zatracie wszystko, coby mogło pamiętać kazimierzowskie czasy, a jedyną po bożogrobcach pamiątką jest podwójny czerwony krzyż na sinem tle, widniejący na ścianie chełmskiego kościoła, podobne krzyże na kalenicy dachu, a w zakrystji kilka poczerniałych portretów mnichów.



<sup>1)</sup> Lib. ben. III s. 31, 34; Nakielski: op. cit. s. 397.

## VIII

**S**tosunek Kazimierza W. do Bochni i Bocheńszczyzny nie świadczy zapewne o jakimś szczególnem wyróżnieniu przez króla tej części polskiej ziemi i wynoszeniu jej ponad inne. Raczej jest to miniaturowy obraz stosunku jego do całego kraju, a przynajmniej do Małopolski. Każde większe małopolskie miasto ma w swoich dziejach kazimierzowski okres, którego cechami dobrobyt i kultura mieszczan, silny wzrost ludności przez napływ żywołów obcych, podniesienie się zewnętrzne miasta przez powstanie całego szeregu nowych gmachów, między którymi ratusz i kościół na pierwsze wybijają się miejsce, a przede wszystkim wzrost ruchliwości i przedsiębiorczości mieszczan na wszystkich polach pracy. Widzieliśmy Kazimierza W., biorącego w opiekę miasto i wieś, szlachtę, mieszczaństwo i prosty roboczy lud. Nie kasując przywilejów stanowych, miał jednak jedną miarę sprawiedliwości dla wszystkich: żądał ścisłego posłuchu dla swoich rozkazów i wszystkie warstwy społeczne usiłował zmusić do pracy i wprzęgnąć w służbę państwa. Gdzie tylko dostrzegł dobrą wolę, nie szczędził zachęty i łask, a każdą rozumną inicjatywę witał z ojcowską życzliwością i spieszył z wydatnem poparciem. Umiał wykrywać jednostki wartościowe, pociągać je ku sobie i wyznaczać im zadania odpowiednio do ich sił i zdolności. Nic dla niego nie znaczyło pochodzenie tych ludzi: głowy myślące i ręce robocze i pracowite uważał za najcenniejszy skarb państwa. Czuł się panem i władcą, ale był daleki od despotyzmu. Cechowała go dobroć, prostota i jakiś ojcowski rys w stosunku do poddanych. Nazwano go królem chłopków i królem żydów, a jednak oba te tytuły, choć pozornie niby pochlebne, w gruncie rzeczy są tytułikami, nawet niezbyt stosownymi dla władcy takiej miary jak on. Prawda, że wziął chłopca w obronę przed ewentualną bezwzględnością dziedzica, że pozwolił mu się

w pewnych warunkach przesiedlać, a przez przeniesienie mnóstwa wsi na prawo magdeburskie dał gminom wiejskim jaki taki samorząd, własne sądownictwo w sprawach drobniejszych, słowem tę jakąś odrobinę swobody decydowania o swoim losie, która człowieka w poczuciu własnej godności podnosi. Tą częścią swojego ustawodawstwa rozpoczął Kazimierz W. ten ruch, niestety niekontynuowany później, który zmierzał do przemienienia chłopą w rzeczywistego obywatela państwa. Wszystko to jednak nie płynęło z jakiegoś specjalnego umiłowania tej właśnie społecznej warstwy, ale z prostego poczucia sprawiedliwości, a może także ze zrozumienia interesu narodu jako całości.

Podobnie było z żydami. Utało się przekonanie, niecałkiem zgodne z historyczną prawdą, że Kazimierz W. szczególnie żydów miłował. Prawda, że kiedy na zachodzie Europy mordowano ich bez litości, kiedy ich zmuszano gwałtem do przyjmowania chrztu, a opornych palono na stosach tysiącami, on tym hiszpańskim, austrijackim i włoskim żydom, którzy uszli z pogromu, dał u siebie przytułek i wziął ich pod swoją osobistą opiekę, żeby ich zaś i na przyszłość uchronić od jakichś krzywd, prześladowań, nadużyć, rozciągnął na całą Polskę przywilej Bolesława Pobożnego, nadany już poprzednio żydom wielkopolskim, a zapewniający im wewnętrzny samorząd, pokój i możność życia. Wszystko to oczywiście nie wyczerpywało kwestji żydowskiej, a przede wszystkim nie precyzowało wyraźnie obowiązków żydów wobec państwa, ale narazie regulowało kwestję żydowską w Polsce w sposób ludzki. Nie płynęło jednak to wszystko z jakiejś specjalnej miłości Kazimierza W. ku żydom, jeno. z tego poczucia sprawiedliwości, którem się kierował wobec wszystkich<sup>1)</sup>. On pierwszy z pomiędzy polskich władców rozumiał, że państwo nie może się opierać tylko na jednej szlachecko-rycerskiej warstwie, i gotów był przygarnąć do siebie wszystkich.

Jeżeli się do tego doda, że Kazimierz W. niezmiernie pustki i wewnątrz kraju i zwłaszcza na kresach wschodnich zasiał dziesiątkami nowych miasteczek i wsi<sup>2)</sup> i w ten sposób rozpoczął ekspansję polską na wschód, która niedługo potem miała dla kultury zdobyć szerokie ziemie aż po Dniepr; że luźne dotychczas dzielnice Polski scementował w jeden zwarty organizm, że zorga-

<sup>1)</sup> cf. J. Dąbrowski: Dzieje II s. 146.

<sup>2)</sup> cf. Mon. Pol. hist. II p. 628.



16. Z obchodu kazimierzowskiego w Bochni w dniu 17 września 1933 r.



nizował administrację, skarbowość, wojsko, że wprowadzony przez siebie porządek prawny utrwalił przez kodyfikację praw w słynnych statutach: wiślickim i wielkopolskim, że wreszcie założył Akademię krakowską, która miała być przez wszystkie następne wieki najważniejszą dźwignią kultury polskiej, — zrozumiemy ogrom jego pracy i zasług i pojmiemy tę cześć pośmiertną, jaką naród otoczył jego pamięć. Zarówno Janko z Czarnkowa jak Długosz mówią o tym pośmiertnym płaczu, jaki się rozlegał nad trumną wielkiego króla<sup>1)</sup>. Wszyscy czuli, że zszedł do grobu jakiś rzeczywisty Król-Duch Polski, który ożywił naród swój i wiódł go ku jakiejś przyszłości szczęśliwej i wielkiej. I chociaż nie było w jego dziejach efektownych rycerskich czynów, chociaż nie szczybił miecza na bramach cudzych grodów, ani brał w niewolę władców ościennych państw, a był tylko rządym władcą swojego własnego kraju i chciał go zamienić w jedno kwitnące gospodarstwo, w któremby panował spokój, ład i dobrobyt, — naród, rozmiłowany w swobodzie i w gospodarczej pracy, jemu jedynemu przyznał tytuł Wielkiego<sup>2)</sup>. Kult Kazimierza przetrwał dawną Rzeczpospolitą i doszedł do szczytu w czasach, kiedy Polska przeżywała okres swojej największej politycznej niedoli. Stał się wtedy Kazimierz symbolem tej minionej świetności, o której wspomniano z tem większą tęsknotą i większym żalem, im większa była niedola i głębszy ucisk. Kiedy kilkadziesiąt lat temu podczas jakichś robót restauracyjnych w katedrze na Wawelu odkryto zapomniany od dawna grób Kazimierza W., wydawało się to jakimś zdarzeniem mistycznym. Zdawało się, że oto wyszedł z grobu, ażeby oczodołami czaszki spojrzeć na ogrom niedoli tego swojego państwa i tego swojego ludu... Takie wrażenie odniósł Matejko, Szujski, Helcel, Tarnowski i wielu innych<sup>3)</sup>. Wiele lat później jeszcze Wyspiański wrócił do owej grobowej wizji. Stoi na jego witrażu król-kościć-próchno. Resztki na nim królewskich szat, tylko korona królewska na skroniach świeci blaskiem, którego ani pył wieków, ani próchno nie zdołało przyćmić i zgasić. Któż wie, ile symbolicznego znaczenia jest w tem zestawieniu próchna, kości i tej nietkniętej zębem czasu

1) Mon. Pol. hist. II p. 636 i 648; Długosz: Hist. Pol. III s. 322.

2) cf. A. Mickiewicz: Literatura słowiańska (wyd. z r. 1865) I s. 64; St. Zakrzewski: Bolesław Chrobry Wielki s. 9.

3) Szujski: Opow. i rozrząd. (Charakterystyka Kazimierza W.) s. 4—5.

korony! Kto wie, czy w intencji wieszczka ta jego wizja nie głosiła tej samej myśli, jaką wypowiedział w Weselu i w Wyzwoleniu, że choć się cały gmach przeszłości rozpadł w próchno, to jednak nie uległo zatracie to, co w nim mieszkowało niegdyś: duch niepodległości i państwowości, którego symbolem złota korona Kazimierza, duch, który wcześniej, czy później musi się oblec w ciało.

\* \* \*

\*

Jakże się kult Kazimierza W. przejawiał w „królewskim górnictwem mieście“ Bochni?

Jak wszędzie, tak i tu z biegiem wieków zacierają się zwolna w pamięci ludzkiej szczegóły, ale wieść o tem, że On był dobrodziejem miasta, i że za jego panowania Bochnia przeżywała swój najszczęśliwszy okres, snuła się nad zubożałym miastem jak jakaś złota legenda, przenosząca dusze ludzkie w krainę marzeń. Od czasu do czasu skryba miejski, notując uchwałę Rady o naprawie walącego się ratusza, wspominał mimochodem, że to królewski gmach, pamiętający złote kazimierzowskie czasy. W rocznice śmierci króla odprawiano w kaplicy żupnej nabożeństwa za spokój jego duszy. Okaleczali górnicy w szpitalu św. Krzyża odmawiali za niego modły. W w. XVIII innych objawów kultu Kazimierza W. w Bochni nie było, ale kiedy pod koniec wieku za czasów Józefa II bocheński ratusz — nieratowany — runął, kiedy kazimierzowski przytułek św. Krzyża, który się wydawał czemś nietykalnym i świętem uległ konfiskacie i przestał istnieć, kiedy z dawnych przywilejów „królewskiego górniczego miasta“ nie zostało już nic zgoła, wtedy na szarem tle nędzy Bochni nowym blaskiem zaczęła promienieć w sercach i wyobraźni mieszczan postać wielkiego króla. Uczczenie jego pamięci stało się potrzebą serc. I oto Bochnia, jedyne miasto w Polsce wzniosła Kazimierzowi W. pomnik, najpiękniejszej ulicy miasta i głównej uczelni swoich synów jego nadała imię, chcąc w ten sposób jakgdyby wzmocnić i utrwalić w ich sercach kult tego wielkiego dobrodzieja miasta i wielkiego budowniczego państwa. W 600-ną rocznicę wstąpienia jego na tron, w obchodzie 16 i 17 września 1933 r., cała ziemia bocheńska złożyła jego pamięci hołd. Zjednoczyły się w tym akcie pod przewodnictwem starosty powiatu, burmistrzów miast i wójtów wszystkich wsi

bocheńszczyzny dziesiątki tysięcy ludzi. Od Niepołomic, z Uściami, od Wiśnicza, Lipnicy i Łapanowa ciągnęły gromady wiejskie w barwnych weselnych korowodach. Na strojnych wozach szeleszczą weselne różdżki i dożynkowe wieńce, uwite z kwieciami i pszennych garści wdarze dla „króla chłopów“. Sędziwy burmistrz Uściami dzierży ze czcią i dumą kazimierzowską pamiątkę: pożółkły pergamin z tekstem przywileju, zapewniającego swobody miastu. Cechy niosą swoje pradawne godła. Nad głowami szeleści jakiś odwieczny sztandar w strzępach. Ściany rynku odbijają echo pieśni „Bogarodzica“ i przy jej uroczystych dźwiękach płyną tłumy inteligencji, mieszczaństwa, ludu roboczego i żydów i wielotysięczne oddziały młodzieży szkolnej, ażeby wieńce złożyć u stóp pomnika królewskiego w rynku i oddać hołd pamięci tego króla, który „umiłował pokój, prawdę i sprawiedliwość“, który chciał do siebie przyciągnąć wszystkich, wszystkich zachęcić do pracy i wszystkich wprzęgnąć w służbę państwa<sup>1)</sup>.



---

<sup>1)</sup> Na wieczną rzecz pamiątkę notujemy, że nici organizacyjne uroczystości zbiegały się w rękach starosty powiatowego Kazimierza Fiali. Do komitetu, pracującego pod przewodnictwem komisarza miasta, Stanisława Pacuły, należeli Mr. Karol Szymanowicz, dr. Stefan Zapala, naczelnik żupy Jan Paschek, inż. Tomasz Serafiński i i.



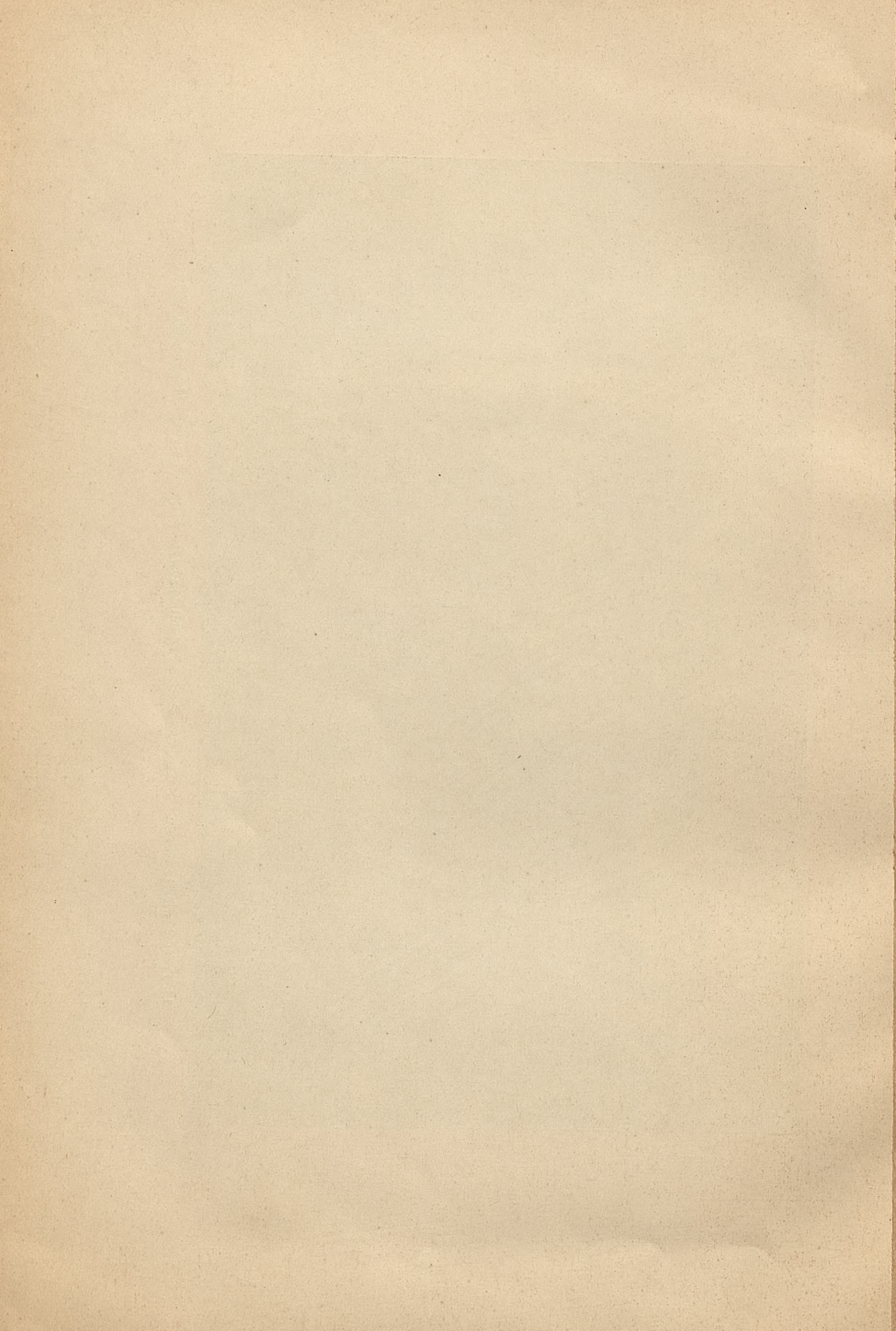


17. Z obchodu kazimierzowskiego w Bochni w dniu 17 września 1933 r.





18. Przedstawiciele Kościoła i Władz w obchodzie jubileuszowym w Bochni w dniu 17 września 1983 r.



## OBJAŚNIENIA DO ILUSTRACJI.

1. Rynek w Bochni. — Pomnik Kazimierza W., dzieło rzeźbiarza Lewandowskiego, stoi w miejscu, gdzie niegdyś wznosił się ratusz. W głębi stary poddominikański gmach. Po kasacie klasztoru przez Józefa II w r. 1777 kościół dominikański zburzono, a budynki klasztorne objął w swe posiadanie rząd i zamienił na siedzibę administracyjnych, powiatowych władz.

Na prawo stare mieszczańskie kamienice z charakterystycznymi atykami.

2. Bochnia. Widok na część miasta od strony południowej.

3. Bocheńska fara św. Mikołaja ze ścianą szczytową w stylu nadwiślańskogotyckim. Obok kościoła drewniana dzwonnica z XVI w. (r. 1520), ciekawy zabytek dawnego drewnianego budownictwa. Zachwycał się jej pięknością i rysował ją wielokrotnie Matejko.

Na miejscu dzisiejszej fary stała pierwotnie drewniana kapelanja pod wezwaniem św. Mikołaja, wzniesiona w r. 1251 staraniem ks. Grzymiśławy, matki Bolesława Wstydliwego, dla licznej rzeszy górników, pracujących w świeżo odkrytej kopalni. Już w r. 1253, kiedy pierwotna górnicza osada przemieniła się w miasto, w miejsce drewnianego kościółka wzniosła bóg, Kinga świątynię murowaną — pod tem samem wezwaniem. W w. XIV — prawdopodobnie po jakimś pożarze — uległ kościół przebudowie w stylu nadwiślańskogotyckim.

Pożar w r. 1655 w czasie pobytu Szwedów w Bochni zamienił kościół w ruinę i dopiero po 10 latach kosztem króla Jana Kazimierza został odbudowany. Z dawnego gotyckiego kościoła zachowała się jednak szczytowa ściana, strojna sterczynami i szeregiem okiennych wnęk, zakrytja i część północnej nawy. Ostatnią restaurację przeprowadził architekt Zubrzycki.

Kościół św. Mikołaja jest jedynym z siedmiu dawnych kościołów bocheńskich. W nim znalazły przytułek cenne pamiątki, pozostałe po dominikanach i bernardynach. Z kościoła dominikanów przeniesiono tu marmurowy ołtarz z cudownym obrazem Matki Boskiej bocheńskiej, marmurowy portal Jej dominikańskiej kaplicy, oraz kilka innych ołtarzy i feretronów. Z kościoła bernardynów przeniesiono przepiękny ołtarzowy krucyfiks średniowiecznego pochodzenia. Kilka ołtarzy bocheńskich wykonał w drugiej połowie w. XVIII Piotr Kornecki. Jego dziełem jest między innymi wielki ołtarz, ufundowany w r. 1768 przez konfederatów barskich.

4. Pomnik Kazimierza W. w Bochni w dniu 17 września 1933 r.

5. **Kazimierzowski kościółek w Łapczycy.** — Ta miniaturowa świątynia, zwana „małą katedrą“, była według analizy estetów arcydziełem gotyckiej architektury. Czasem runęło sklepienie, usunięto misterne filarki, rozdzielające kościół na trzy nawy, sklepienie zastąpiono sufitem. Nazewnątrż zeszpecono całość nieestetycznymi przybudówkami.
6. **Zamek w Wiśniczu.** — Pierwotny zamek Kmitów rozbudował w r. 1621 i w latach następnych Stanisław Lubomirski. Dodano drugie piętro i renesansową kaplicę, a dziedziniec zamkowy zamknęło potężnym pięciodobokiem fortycznym z bastjonami w narożnikach. Baszty zamku są prawdopodobnie pozostałością ze średniowiecza. Świadczą o tem ich gotyckie wsporniki i gzymsowania.
7. **Sala w „Kmitówce“ w zamku wiśnickim.** — Południowa część zamku t. zw. „Kmitówka“ jest pozostałością ze średniowiecza. Sala dolna, na dwóch filarach wsparta, miała być niegdyś, według przypuszczenia Łuszczkiewicza, zamkową kuchnią.
8. **Dziedziniec w niepołomickim zamku.** — Pierwotny myśliwski zameczek Kazimierza W. uległ z biegiem czasu takiej gruntownej rozbudowie, że śladów jego w dzisiejszym masywie zamku trudnoby było odszukać. Średniowieczne mury zachowały się może już tylko w jakiejś części zamkowych piwnic. Nowy zamek pochodzi z czasów Zygmunta Augusta (z przed r. 1569). Renesans wycisnął na nim swoje piętno. Późniejsze drobne przeróbki i ozdoby (brama wjazdowa) odnieść należy do w. XVII. (Braniccy i Lubomirscy). Zamek niepołomicki był za czasów dawnej Rzeczypospolitej siedzibą podrzędztwa, później niegrodowego starostwa.
- 9, 10, 11. **Kościół parafjalny w Niepołomicach,** ufundowany w r. 1358 przez Kazimierza W. pod tyt. dziesięciu tysięcy męczenników, ukrzyżowanych na górze Ararat. Kościół na zewnątrz zachował swój kształt pierwotny. Późniejszymi dodatkami są dwie kaplice. Jedną ufundowali w w. XVI (r. 1560) Braniccy. W niej grobowce Jerzego i Katarzyny Branickich. Drugą kaplicę pod wezwaniem św. Karola Boromeusza wznosił w r. 1640 Stanisław Lubomirski. Znacznym przekształceniom uległo natomiast wnętrze kościoła, gdzie w ołtarzach i dekoracjach ściennych króluje barok. Zakrystja kościoła zachowała swój pierwotny gotycki charakter. Na jej ścianach widzimy dobrze zachowane średniowieczne freski.
12. **Rynek w Lipnicy murowanej.** — Typowy rynek starego drewnianego miasteczka — z charakterystycznymi podcieniami. Na środku kolumna z posągiem błog. Szymona z Lipnicy.
13. **Lipnica murowana. Szczątki murów obronnych** — zachowały się zaledwie w kilku miejscach — koło fary i w południowej stronie miasta. Jest to smętna pamiątka owych czasów, kiedy to Lipnica, jako jedna z ważniejszych stacyj przy wielkiej węgiersko-polskiej drodze, była bezpiecznym punktem postoju dla przejeżdżających kupieckich karawan i stanowiła handlowe centrum dla całej południowej połaci bocheńszczyzny.

- 14. Kościół parafjalny w Lipnicy murowanej.** — Czas erekcji kościoła niepewny. Musiał jednak powstać niedługo po założeniu miasta (r. 1326) a więc za Łokietka, albo (prawdopodobniej) za Kazimierza W. Ogrom i majestat kościoła zdaje się świadczyć, że jego fundator przewidywał w niedalekiej przyszłości znaczny rozwój Lipnicy i liczebny wzrost jej ludności, i do tych horoskopów dostosował wielkość i powagę świątyni.
- 15, 16, 17.** Grupy włościańskie w obchodzie jubileuszowym ku czci Kazimierza W. w dniu 17 września 1933 r. w Bochni.
- 18. Przedstawiciele Kościoła i Władz.** w obchodzie jubileuszowym w dniu 17 września 1933 r. w Bochni. Między innymi ks. biskup tarnowski Dr. Franciszek Lisowski, starosta powiatowy Kazimierz Fiała, burmistrz miasta Stanisław Pacuła, proboszcz bocheński ks. Dr. Władysław Kuc ks. Prałat Roman Sitko i i.





ODBITO  
W DRUKARNI  
„SECESJA“ W  
BOCHNI W 1500 EG-  
ZEMPLARZACH, Z TE-  
GO 200 EGZ. NA PAPIE-  
RZE BEZDRZEWNYM. KLI-  
SZE WYKONANO WEDŁUG  
ZDJĘĆ ZAKŁ. FOTOGRAFICZN.  
J. GARGULOWEJ W BOCHNI W  
ZAKŁADZIE REPRODUKCJI ARTYST.  
„ZORZA“ KRAKÓW. — SKŁADAŁ  
I ŁAMAŁ T. SIEWARGA. DRU-  
TUROWEJ T. MARTYNA. —  
BROSZUROW. W INTR.  
J. WILCZYŃSKIEGO.  
DRUK UKOŃCZONO  
W MAJU ROKU  
PAŃSKIEGO  
MCMXXXIV



*Ex Libris  
Andrzej Poczta  
19. III 1986*



